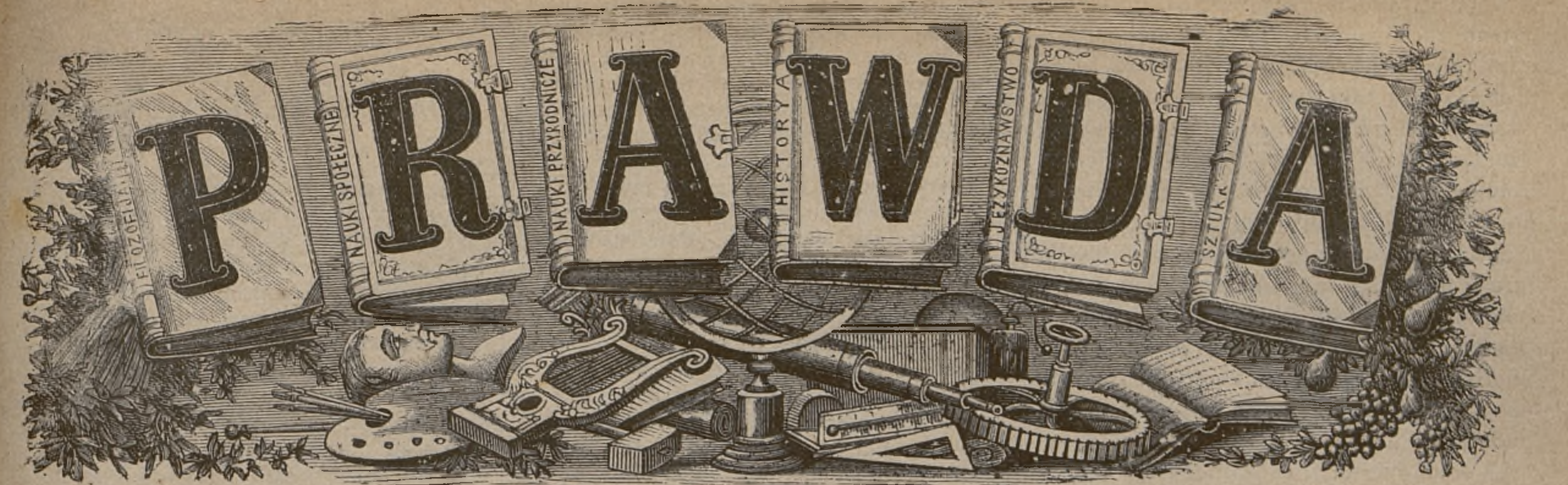
№ 13. Warszawa, dnia 31 (19) Marca 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Paw narodów. — Tydzień polityczny. — Nieśmiertelne dusze. II. Aureli Wiszar dramat w trzech aktach W. Okońskiego. — *Badania naukowe*: Nowa praca w kwestyi społecznej p. T. T. Jeża. — Prace amerykanów nad rozwojem religij p. Lud. Krz. — Odczyty na osady rolne VI. p. N. H. — *Literatura i sztuka*: Literatura polska: Eliza Orzeszkowa. Panna Antonina, W zimowy wieczór. — Kazimierz Jarochowski. — (Wspomnienie pośmiertne). — Opis Hordyński Fed'kowicz. (Wspomnienie pośmiertne).— *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Drogomira. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru *Prawdy* dołączamy dodatek kwartalny powiększony p. t. **O charakterze.** W kwartale następnym wydamy drugą część **Historyi wieku XIX**, a dalej rozpoczniemy przekład słynnej **Antropologii** Tylora.

POLITYKA.

PAW NARODÓW.

Paweł St. Victor, rozpamiętywując skutki wojny z Prusami w r. 1870, zakończył swoją płomienistą mowę słowami: „Bodajby piorun, który nas zdruzgotał, mógł nas przynajmniej oświecić." Zdawało się, że tak będzie. Na gruzach budowy zgniłej i spróchniałej powstał gmach nowy, podparli go swemi ramionami ludzie silni, nie olbrzymy wprawdzie, ale kolumny mocne. Rzeczpospolita rozwijała się szybko, zaczęły w niej kwitnąć najcenniejsze pierwiastki postępu, i Francya, mimo pogromu, obiecywała dalej utrzymać wytrącone jej na chwilę berło przewodnictwa światu. Chociaż odłamano od niej dwie prowincye i zrabowano jej skarbiec, chociaż ją zdruzgotano na polu bitew, żywioły wolnomyślne widziały w niej piastunkę swych ideałów, pocieszycielkę strapionych, orędowniczkę wszystkich wielkich zasad, wykonawczynię testamentu ofiar poległych za prawa swobody i dostojeństwa ludzkiego. Wierzono powszechnie, że najważniejsze zagadnienia życia społecznego znajdą swe rozwiązanie we Francyi. Wierzono długo i czekano cierpliwie, a wieloletnią zwłokę usprawiedliwiano kłopotami około przebudowy państwa.

Od narodzin Rzeczypospolitej upłynęło lat 17 — i jakiż ta Francya przedstawia obraz? Czy obraz zbiorowej pracy nad rozwiązywaniem zadań wieku i coraz liczniej zapalanych pochodni dla przyświecania światu w drodze ku przyszłości? Nie — obraz osobistych bijatyk, zażartych starć stronniczych, burd ulicznych, blagi i popisów rozpusty. Wywracane co kilka tygodni gabinety ministeryalne, gorszące zajścia w Izbie, szacherki orderowe, manifestacye na cześć generała, który jeszcze nie zarobił na sławę a już ją posiada, oburzenia na bułgarów przeplatane rozgłosem wybryków Sary Bernhard— oto dziwaczna panorama bieżących dziejów tego narodu, przypominająca „marzenia ściętej głowy" Wirtza. Jeżeli stamtąd dolatuje nas echo jakiejś wrzawy, to zwykle jest to echo skandalu lub blagi. Francuzkie korty, aksamity, tkaniny jedwabne, wyroby galanteryjne, słowem, przemysł olśniewa nas ciągle swemi dawnemi zaletami, ale duch francuzki gaśnie, omdlewa, albo — co gorsza — wyrodnieje. Może wesołe piosenki śpiewane na bulwarach a ośmieszające wszystko, może koncepty *Figara* i jego niezliczonego potomstwa wszelkich odcieni, może artykuły wstępne gazet rozbierające sprawę bielizny właściwej dla schadzek miłosnych, może to bawi Paryż i jego zagranicznych gości; ale cały ten lekkomyślny, pusty i pornograficzny humor nie jest objawem siły, zdrowia i wielkości narodu. Ta literatura, która się grzebie w zepsuciu moralnem i wyszukuje coraz nowych dla niego form, która ze sprawy męża, żony i kochanka zrobiła najważniejszą kwestyę wieku; ten teatr, rozsnuwający wątki gynekologiczne, który odsłania ciągle tajemnice samców i samic; ta prasa zamknięta w widnokręgu miejscowych awantur i polująca na skandale; ta polityka nagich interesów, obcych zasadom szlachetniejszym; te fajerwerki namiętności palone na cześć warcholstwa, ta zupełna prawie niezdolność do głębszych rozmyślań nad życiem — te zjawiska nie dają Francyi praw do tytułu przodownicy na polu cywilizacyi.

W Niemczech, w Anglii, we Włoszech, wszędzie, nie wyłączając nawet skromnych kątów i grup ludzkich nad Wisłą lub Dunajem, widzimy poważniejsze pojmowanie życia, niż w tej Francyi, która coraz bardziej kurczy się w Paryżu, miejscu schadzek i zabaw bogatej i wesołej Europy. Bo czyż tam rozwiązuje się wielki zatarg kapitału z pracą, który tak olbrzymie przybrał rozmiary w Niemczech; czy tam dobywają się nowe prawdy i systemy filozoficzne; czy tam rodzi się przyszłość wiedzy, ustroju i warunków bytu ludzkości? Co my stamtąd otrzymujemy, wyjąwszy *articles de Paris*? Na jaki głos stamtąd płynący mocniej zabije nam serce i rozgrzeje się krew? Czy Wilson, sprzedający ordery, czy Boulanger, urządzający jasełka z motłochem, czy Sara Bernhard, spacerująca z tygrysem, czy Rochefort, wydymający ze swego pióra bańki błotne, czy Cassagnac, napastujący ministrów, czy *Figaro*, plujący w oczy Rzeczypospolitej, która go czyta, czy Dumas, układający nowe zrównanie z męża, żony i kochanka — czy to ma u nas zbudzić zapał i uwielbienie dla mistrzów cywilizacyi? A jeżeli kogoś te burdy, wrzaski, drwiny, skandale i błazeństwa nie zachwycają, niech je odejmie od Francyi dzisiejszej i zbada, co mu pozostanie? Pozostanie — licząc tylko żywioły dodatnie — naród zdolny, pomysłowy i pracowity, który jednak na zagranicę nie wywiera głębokiego wpływu. Przypuśćmy, że nie potrzebujemy jechać do Paryża dla zabawy lub handlu, po co tam pojedziemy?

Francya przeszła już rozmaite rewolucye, ale nie buntowała się jeszcze przeciwko tym szumowinom, które pływają po jej wierzchu i mącą nurt jej życia publicznego. A jednak, gdyby na to znalazła siłę w swej naturze, powinna wypowiedzieć walkę: swojej płochości, bladze, rozpuście, zguiliznie mo-

ralnej, egoizmowi w polityce, filisteryi w sprawach społecznych, lubieżnictwu w literaturze. Zwłaszcza zaś ta literatura, która jest jakiemś tokowiskiem samców i samic, która popęd płciowy uczyniła osią życia, która cały kraj okryła wspólnym dachem domu rozpusty, powinna doczekać się ze strony umysłów zdrowych i głębszych rzezi. Należałoby w niej postawić rząd gilotyn i pościnać łby rozmaitym kazicielom ducha narodu, rewizorom, apostołom lub kapłanom nowożytnej Cybeli. W stęchłem powietrzu tępieje węch; francuzi przeto nie czują, że taki np. Dumas, który napisał kilkadziesiąt dramatów i powieści dotyczących środkowego dzwona ludzkiego i przy całej swej głupocie zyskał olbrzymią sławę, jest sromotnem świadectwem ich zdrowia umysłowego. Ale inne narody to widzą i wiążąc na szyi gustowny krawat paryski, drwią z rozpiętego ogona pawia narodów. I jakże nie mają drwić, jeżeli w tej ciężkiej chwili życia powszechnego paw ten zajmuje się — Boulangerem?

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Śmierć cesarza Wilhelma sprowadziła zamęt w stosunkach europejskich. Zamęt ten byłby krótkotrwałym i szybko ustąpiłby miejsca nowemu uporządkowaniu, gdyby na tron niemiecki wstąpił monarcha zdrów, dający rękojmię dłuższego kierowania losami państwa, którego wpływ na bieg spraw politycznych od lat wielu jest silnym i rozstrzygającym. Stało się przeciwnie. Mimo zapewnień uspakajających, Fryderyk III zapada coraz głębiej w swoją chorobę i podtrzymuje stan tymczasowości. Podzieliwszy się władzą z synem, pośrednio wyznał, że o nadziei wyzdrowienia zwątpił. Skutkiem zobowiązania lekarzów do milczenia, nie wiadomo ściśle, co się dzieje w jego gardle; różne jednak objawy a zwłaszcza znaczące napomknienia gazet kanclerskich każą przypuszczać, że dzieje się niedobrze. W Belgii drukuje się podobno nawet broszura jakiegoś junkra niemieckiego, dowodząca niezdolności chorego monarchy do rządów, która, bądź co bądź, przekonywa, że w wiernopoddańczych niemcach, którzy takich buntów przeciw swym władcom nie zwykli podnosić, objawia się niezadowolenie. Naturalnie zagranica, niepewna co do trwałości czynnika tak ważnego, jakim jest cesarz Niemiec, ogranicza swoje z nim stosunki do aktów grzeczności i zetknięć koniecznych w sprawach bieżących, rozmierzonych na krótką metę.

Wszystkie też warsztaty polityczne w Europie zwolniły swój ruch, stoją bezczynne, jak gdyby czekały zakończenia się tymczasowości i ustąpienia człowieka, który posiada sympatyę powszechną, ale nie posiada warunków dłuższego życia. Tem wyczekiwaniem tłomaczy się cisza w wielu sprawach, a zwłaszcza w bułgarskiej. Ks. Ferdynand, otrzymawszy od Porty notę, wskazującą mu bezprawność jego rządów, postanowił na nią nie odpowiadać wcale, a jakkolwiek Porta, dogadzając życzeniu posła Nelidowa, cofnęła nadany dawniej Gadbanowi baszy tytuł komisarza tureckiego w Sofii, krok ten na zmianę położenia nie oddziała znacznie. Natomiast przybrałoby ono całkiem inną postać, gdyby sprawdziły się wieści, że ks. Koburg zamierza ogłosić niepodległość Bułgaryi.

Trwoga, zbudzona w Austryi śmiercią Wilhelma I i obawą o dalsze losy przymierza z Niemcami, znowu zasnęła, gdy ks. Bismark w liście do hr. Kalnokego oświadczył, że sojusz dwu państw trwać będzie. Należało przewidywać to potwierdzenie ślubu politycznego ze strony Fryderyka III, który nie może myśleć o żadnych daleko sięgających działaniach politycznych, o żadnych — jak sam się wyraził — „czynach wielkich.“ Przedłużenie zaś kontraktu z potężnym sąsiadem daje Austryi swobodę i moc do rozwijania swych wpływów na półwyspie Bałkańskim i podpierania Koburga.

Wyprawa włoska w Abisynii przewleka się bez stanowczych wyników walki i bez nadziei szybkiego jej ukończenia. Włosi żałują, że wleźli w to błoto i pragnęliby jak najprędzej z niego się wydobyć. Obecnie poszukują tylko wyjścia honorowego, któreby nie wynagrodziło im poniesionych strat, ale przynajmniej dało pozory tryumfu. Na nieszczęście nawet tych pozorów zdobyć nie mogą.

W Bukareszcie posłowie opozycyjni wtargnęli na czele tłumu do Izby sejmowej, zabiwszy odźwiernego. Prokurator zamknął salę i rozpoczął śledztwo.

BADANIA NAUKOWE.

NOWA PRACA W KWESTYI SPOŁECZNEJ.

We Francyi, przy gwarze i dystrakcyi, jaką sprawiają sprawy polityczne, są przecie jeszcze ludzie, co się wyosabiają, zamykają, studyują i pracują. Dowodem tego jest gruba, 700 blisko stronic ósemki większej licząca książka, wydana pod wielce interesującym tytułem: „Kwestya socyalna i naukowe jej rozwiązanie“ (*La question sociale et sa solution scientifique*, Paris 1887). Autorem pracy tej jest p. Juliusz Edward Blondel, z którego nazwiskiem nie spotykałem się w zakresie socyologii. Nazwisko przeto nic nie mówiące pozwala tem bardziej wydać o książce sąd bezstronny. Sąd jednak zostawiamy na później i przedewszystkiem wykazać się postaramy: zamiar autora, program, jaki sobie zakreślił i metodę, jakiej się trzymał. Mamy bowiem przed sobą dzieło naukowe — ściśle naukowe, a więc stosownie do tego recenzyę jego kreślić należy.

Co do zamiaru, tłomaczy się on w tytule: rozwiązanie zagadnienia społecznego. Tytuł wszelako nie powiada, czy rozwiązanie owo dokonać się, czy też tylko wskazać się ma. Autor we wstępie uprzedza czytelnika, że się nie podejmuje rozwiązania dokonać — czemu? — czy dla braku materyałów? Materyałów nie brak — przeciwnie, jest ich mnóstwo wielkie, ale nie wszystkie nadają się do sformułowania zrównania, prowadzącego do odszukania wartości x., większa bowiem materyałów owych część składa się z iksów. W takim rzeczy stanie rozwiązanie kwestyi społecznej aprioristyczne, przedstawia się pod postacią niemożliwości bezwzględnej. Możliwem jest jeno wytyczenie ku celowi temu drogi i wskazanie danych, powołanych do założenia formuły, stanowiącej istotę tej ewolucyi dziejowej, na której progu ludzkość w momencie obecnym stanęła.

Praca przeto autora polega przedewszystkiem na gromadzeniu i ocenie danych. Za punkt wychodni służy mu człowiek — człowiek taki, jakim jest obecnie w społeczeństwie, składającem się z istot indywidualistycznych, swobodnych, interesownych, to jest, stanowiących każda w szczególności jednostkę fizycznie i psychicznie odrębną, działających samodzielnie i odnoszących wszystko do siebie. „Lecz, luboć indywidualistyczne, istoty te wchodzą w stosunki

---

5)

NIEŚMIERTELNE DUSZE.

II.

AURELI WISZAR

dramat w trzech aktach

W. Okońskiego.

(Dzieje się współcześnie w Krakowie).

SCENA IV.

Ciż i hr. Scibor.

Kreisler.

Czekamy na pana hrabiego.

Hr. Scibor.

Dawniej czekano na nas dłużej... Spieszyłem się, spieszyłem.

Kreisler.

O ile z tej obecności pana hrabiego miałem odnieść zaszczyt, byłem bardzo cierpliwym, tylko o ile tego wymagał nasz interes, liczyłem na punktualność. Niech pan hrabia odpocznie i zaraz przystąpimy do sprawy, która nas tu zebrała.

Hr. Scibor (*do Ksawerego*).

Znasz ją?

Ksawery.

Nie.

Kreisler.

Rzecz tak stoi... Za pozwoleniem (*dzwoni — wchodzi służący*). Poproś natychmiast pana Justyna (*służący wychodzi*). On, jako mój wspólnik, jest potrzebny dla uchwały, bo w jej powody już go wtajemniczyłem. Otóż rzecz tak się przedstawia: fabryka Wiszara, w której — jak panom wiadomo — robotnicy dopuszczeni są do udziału w zyskach, rozwija się pomyślnie, ma liczne obstalunki, daje towar dobry i tani. Przewiduję zarzut, że jej współzawodnictwo z tej strony jest groźnem tylko dla fabryk papieru, a nie dotyka innych. Ale ten wariacki koncept Wiszara ma drugą stronę, którą grozi wszystkim przemysłowcom, mianowicie — buntuje im robotników, domagających się podobnego współuczestniczenia w dochodach. Przeciwko temu musimy radzić i wystąpić łącznie wszyscy! Przedtem wszakże uznałem za stosowne porozumieć się co do sposobów działania w kółku ściślejszem — rodzinnem.

Hr. Scibor.

Czy pan już to zrobił?

Kreisler.

Obu panów liczę do rodziny, skoro pan Ksawery ma być moim zięciem.

Hr. Scibor.

A!

Kreisler.

Położenie jest naglącem.

Hr. Scibor.

Zauważyłeś pan już jakie niepożądane objawy?

Kreisler.

Czy zauważyłem? Ależ robotnicy ciągle odbywają narady, sarkają, obiecują porzucić pracę, a sądzę, że u pana hrabiego nie są lepsi od moich. Wybuch nastąpi niebawem.

Hr. Scibor.

To dziwne, nic mi o uszy się nie obiło.

Kreisler.

Bo pan stoisz dalej od swoich ludzi, niż ja. My, fabrykanci papieru, broniąc się powinniśmy spuścić jego cenę niżej kosztów produkcyi w nadziei, że Wiszar tej walki nie wytrzyma (*podczas tych słów wchodzi Justyn*).

z sobą; lubo swobodne, poddają się w razie danym dyscyplinie nieki. dy surowej; lubo wreszcie interesowane, zdolnemi są zdobyć się na sprawiedliwość i dobroczynność.“ Wynika stąd współubieganie się zwrócone ku przedmiotom takim, jak wyroby, majątek czy bogactwa, stosowane do zaspokajania potrzeb, spółubieganie się do nieskończoności urozmaicone wedle ludzi i rzeczy, czasów, miejsc i stopnia cywilizacyi, z którego (spółubiegania się) wywiązuje się porządek społeczny, oparty obecnie, tak samo jak porządek ekonomiczny, na własności osobistej, wolności i państwie.

W sposób powyższy zaznaczył sobie p. J. E. Bl. punkt wychodni i wytknął ramy pracy swojej, którą dzieli na dwie części: „Ustrój“ i „Rozwój.“ W części pierwszej, w rozdziale pierwszym znajdujemy wykład o produkcyi ze względu na potrzeby, wyroby i roboty, w rozdziale drugim o obiegu, obejmującym mechanizm, wartość i monety, w rozdziale trzecim o spożyciu, w rozdziale czwartym o państwie, w rozdziale piątym o stosunkach międzynarodowych. Część druga obejmuje następujące rozdziałów tytuły: Wyrok (*croissance*), dojrzałość, upadek i rozwiązanie kwestyi socyalnej. Wedle tego poznać można zawartość pracy, rozwijanej przez autora sposobem ściśle dydaktycznym i z tym spokojem, który cechuje człowieka nauki. Nie sposób z dzieła tak obszernego zdać sprawy szczegółowej. Poprzestać musimy na zaznaczeniu punktów głównych.

Zatrzymamy się chwilę na rozdziale pierwszym części pierwszej — na charakterystyce potrzeb, dzielących się same przez się na cielesne, fizyczne, psychiczne, moralne, artystyczne, naukowe. Widoczna w nich rozmaitość, a w rozmaitości hierarchia. Wynika stąd hierarchia produkcyi. W stosunkach pomiędzy potrzebami a wytworami pośredniczy praca; ta ze swojej strony podlega regułom odpowiedniej jednym i drugim hierarchii. Wedle tej ostatniej, potrzeby rozpadają się na trzy wielkie kategorye: cielesne i fizyczne — zaliczają się do nich pożywienie, odzież, pomieszkanie; psychiczne, które obejmują nauki, sztuki, literaturę i zbytkowe, służące do zaspokojenia urojeń. Wedle kategoryj tych porządkuje się społeczeństwo na trzy działy. Autor charakteryzuje je nazwami szczególnemi, wziętemi z królestwa owadów; dział pierwszy mianuje pszczelnym, drugi konikopolnym, trzeci szerszeniowym (*abcillisme, cigalisme, frèlonisme*). Do każdego z działów tych wchodzą odpowiadający nazwie charakterystycznej producenci i konsumenci; do ostatniego, w kategoryi konsumentów, autor zalicza: wielkich panów, rentierów i złodziei, wogóle, złoczyńców, będących lecznicyzm wynikiem i uzupełnieniem klasy cudzym kosztem żyjącej. Nie jest to dla wielkich panów zestawienie pochlebne, ale bodaj czy nie trafne.

Podział pracy, wedle autora, dokonywa się wedle pierwiastków, jakie do niej wchodzą: odpowiednio zawiązują się stowarzyszenia pomiędzy materyą a materyą, pomiędzy materyą a osobowością ludzką, pomiędzy osobnikami. Zachodzi we względzie tym komplikacya ogromna, którą autor wykazuje i tłomaczy, pomagając sobie niekiedy formułami matematycznemi. Część ta pracy p. J. E. Blondel wielce jest ciekawa. Z podziału pracy i ze stowarzyszeń wyprowadza on ustrój tak społeczny, jako też państwowy.

Rozmiary sprawozdania kronikarskiego nie pozwalają mi iść ślad w ślad za autorem i podnosić podawane przezeń fakty i wyciągane z nich wnioski wogóle ciekawe, niekiedy ważne. Z tego, com zaznaczył powyżej, powziąć można wyobrażenie o nastroju pracy — o poglądach na obieg, spożywanie, wreszcie na państwo, któremu autor wyznacza rolę regulatora. Wykazałem założenie ogólne. Z założenia poglądy wysnuwają się logicznie, doprowadzając do części drugiej, noszącej tytuł: rozwój. W części tej, stanowiącej zogniskowanie pracy p. J. E. B., poprzestaniemy również na wskazówkach.

Co jest właściwie podnietą ewolucyonizmu w społeczeństwach? Zależność systemów pracy jednych od drugich. Ewolucyonizm społeczny wynika z ekonomicznego, o którym autor w taki wyraża się sposób: „Systemy pracy, z których się składa społeczeństwo, nietylko jedne do drugich ściśle przystają, ale jedne z drugich wynikają i, wedle stosunków wzajemnych pomiędzy przyczynami a następstwami, oddziaływają nieustannie jedne na drugie. System alimentarny tworzy przedmurowanie porządku ekonomicznego i jest, poszczególnie, warunkiem systemu tegmentowego. W połączeniu dają one początek naukom, sztukom, jako też, za pośrednictwem szerszeni (bogaczów, rentierów i złoczyńców) zbytkowi. Gdy system alimentarny w kwitnącym znajduje się stanie, w kraju się wszystko rozwija; w razie przeciwnym wszystko na raz, tegmentacya, nauki, sztuki, zbytek, dotkniętem zostaje. Przeciwnie, gdy się ścieśnia szerszenizm, w razie tym bowiem wytwory dla niego przeznaczone a które on wyzywa, odpływają ku systemom pożytecznym i wzmagają ich płodność. Zdaniem autora, zbytek jest społeczeństwu szkodliwym ekonomicznie, wywołuje bowiem ogólne w dogadzaniu zbytkowi spółzawodnictwo, rokujące wielkie zyski przy małym stosunkowo nakładzie kapitału i pracy, zwróconej na artykuły bez żadnej wartości użytkowej i artystycznej. Co za wartość, naprzykład, mają artykuły takie, jak szyny, turniury i tym podobne? Łatwość zysków urabia dążność do bogacenia się bądź co bądź, prowadzi przeto do demoralizacyi i do pogorszenia tego stosunku, jaki zachodzi pomiędzy przedsiębiorcą a robotnikiem, stosunku, w którym, w zakresie ekonomicznym, znika całkowicie osobistość człowiecza i na miejsce jej wchodzi: wyrób. Tyle łokci tkaniny idzie na nakład, tyle pozostaje, jako czysty zysk. Robotnik liczy się tu, jako tryb jeden, wchodzący do składu maszyny i uwzględnia się tylko ta potrzeba, której zaspokajanie niezbędnem jest do utrzymywania go w stanie trybu. O potrzebach przeto jego psychicznych mowy być nie może. Tu ekonomia jest bezwzględną a tem bezwzględniejszą, im zbytki silniej się rozwijają i na wyższym stają stopniu. Wytwarza się stąd niedomaganie społeczne — stan chorobliwy — taki właśnie stan, w jakim się społeczeństwa ucywilizowane znajdują w chwili obecnej.

Stan ów nie jest dla Europy nowością. Przykłady jego znajdują się w przeszłości odległej. Autor wykazuje je w Rzymie, pod koniec rzeczypospolitej, kiedy się rozpoczęły trudne dla rolników przedewszystkiem warunki, które też rolnictwo wprawiły w stan nader wyraz oplakany. Stan ten odbił się na wszystkich zarobkujących społeczeństwa warstwach. Lud uginał się pod ciężarem długów i domagał się zniesienia ich; domagał się zarazem, prawa rolnego, to jest, równego podziału gruntów, którymi zawładnęli patrycyusze. To to głównie niedomaganie ekonomiczne wysadza kolejno: Grachów, Maryusza, Katylinę i Cezara. Stan ten nie poprawia się pod cesarzami. Powodem, dla którego on powstał i trwał, było naruszenie równowagi ekonomicznej sprowadzone przez nagromadzenie bogactw w rękach ludzi pojedynczych. Wodzowie przywozili z Azyi bogactwa ogromne metaliczne, pochodzące z rabunku miast, pałaców i świątyń. W okresie administracyjnym dzieło łupieżenia za pomocą nadużyć i niesumienności w tranzakcyach przeszło do rąk prokonsulów, publikanów i kupiectwa. Ci wszyscy owoce nadużyć przemieniali we wierzytelności i własności ziemskie, które masy wywłaszczone stawiały

---

SCENA V.

Ciż i Justyn.

Justyn.

Ja na to się nie zgadzam. Dzień dobry panom.

Kreisler.

Dlaczego?

Justyn.

Dlatego, że takiego rodzaju walki nie uważam za uczciwy.

Kreisler.

Uczciwością przemysłu jest rzetelność w wyrobie, a uczciwością handlu — rzetelność w sprzedaży. Kogo ja oszukuję? Mnie nie wolno zniżyć ceny towaru?

Justyn.

Ale nie ze szkodą cudzą.

Kreisler.

Tylko z cudzym zyskiem? Tobie ta głupowata miłość rozum potargała. Ty mi do interesu nie płącz żadnych czułości, bo on ich nie znosi!

Justyn.

Jednakże jako wspólnik ojca pragnę mieć przynajmniej własne zdanie.

Kreisler.

Dotąd jest to jedyny twój wkład do tej spółki, a jeżeli go chcesz zachować nietykalnym, mogę ją każdej chwili rozwiązać. Bardzo łatwo się obliczymy: ja wezmę mój kapitał a ty swoje zdanie.

Justyn.

Znam tę pogróżkę.

Hr. Scibor.

Nie mieszając się do sporu panów, sądzę, że pan Justyn ma poniekąd zasadę do oporu.

Kreisler.

Jaką?

Hr. Scibor.

Bo pan chcesz zniszczyć drugiego człowieka.

Kreisler.

Pan hrabia sądzi, że ja do szczęścia potrzebuję niedoli Wiszara, że pragnę utyć jego chudością, nacieszyć się jego smutkiem? Mnie on nic nie obchodzi — nic, zarówno bogaty, jak biedny, mnie obchodzi tylko mój interes. Niech on za każdy arkusz bibuły dostaje arkusz banknotów, niech swoje posadzki wykłada słoniową kością a zasuwa drzwi na platynowe rygle, ja mu nie będę zazdrościł i przeszkadzał; ale niech osią swojego wozu o węgieł mojego domu nie zawadza, niech mnie nie podrywa. Ja go nawet lubię, bo to dobry chłop, ale głupi, a w przemyśle współzawodnik głupi gorszy od złego.

Justyn.

Dotąd jednak żadnej szkody z jego powodu ojciec nie poniósł.

Kreisler.

Ty nazywasz dobrodziejstwem to, że robotnicy mają odebrać z fabryki swoje dzieci i wypędzić obce, ażeby im nie obniżały płacy? Zresztą, czy ja powinienem czekać, aż mi na głowę kamienie spadać będą i nie chronić się przedtem pod dach, tylko rozpiąć parasol?

Ksawery.

Pozwólcie mi panowie wtrącić skromną uwagę: mnie się zdaje, że w tej sprawie największą wartość musi mieć głos najobszerniejszego doświadczenia, którem nas wszystkich przewyższa pan Kreisler. Nie ryzykując własnych rozumów, zaufajmy jemu.

Kreisler.

O to mowa rozsądna. Justynie, gdy ja umrę, radź się swego szwagra.

Justyn.

Tyle ustępstw zrobiłem ojcu, że dla szwagra by mi ich zbrakło.

Ksawery.

Ja nie będę wymagał.

Kreisler.

Zatem do rzeczy.

w zależności od małej liczby bogaczy. Urosły fortuny skandaliczne: zbytek doszedł rozmiarów niesłychanych. Horacyusz uskarża się, że ogród jeden wiejski pochłania ojcowiznę, z której by wygodnie żyć mogło rodzin wiele. W ostatnich cesarstwa czatach klasa ludzi wolnych znikła zupełnie prawie: pozostawali jeno właściciele wielcy i niewolnicy, co rolę uprawiali. Prowincye wiecznie trapiły głody. Stan taki, nie jest—że stanem, na który choruje Irlandya? Nie przejawiał się on pod postacyą głodu, któremu peryodycznie podlega klasa robotnicza we wszystkich o wysoko rozwiniętym przemyśle krajach?.. Domaganie się reform społecznych jest odmianą domagania się praw rolnych, zajmującego w dziejach Rzymu miejsca tak dużo.

I tamto i to jednej i tejże samej — według autora — jest następstwem przyczyny, tkwiącej całkowicie w zbytecznem skupieniu bogactw, które nie jest wypadkiem, ale prawem, będącem znamieniem, jakoteż podnietą rozwoju postępowego. Prawo to wyprowadziło ludzkość ze stanu dzikości i, działając w niej ustawicznie, spowodowuje nierówność w rozkładzie bogactw, której zaradzić nie sposób. Można jednak zaradzić nadużyciu, ograniczyć je i za pomocą ograniczeń stosownych zapobiedz temu gorszącemu koncentrowaniu, na jakie patrzymy a które, będąc sprawcą głównym i jedynym niedomagań społecznych w chwili obecnej, zagraża niedomaganiami jeszcze większemi na przyszłość. Rozwój cywilizacyjny urabia refleksyę i ułatwia przechodzenie do niej ze stanu samowoli, charakteryzującego dzikość. Owóż w refleksyi tkwi możliwość okiełznania nadużycia w gromadzeniu przesadnem bogactw. Na okiełznaniu tem polega całkowicie rozwiązanie kwestyi społecznej, nie zaś na sprowadzeniu rozkładu bogactw do równości, które sobie socyalizm nowoczesny, jako cel wytyka— cel idealny, absolutnie, zdaniem autora, do urzeczywistnienia niemożliwy. Możemy się do niego zbliżać i zbliżyć, ale nie jesteśmy w stanie wynaleźć formuły, w której by się on wyrazić mógł. Kolektywizm ponętnym jest; formuła ta atoli, oparta na równości obowiązków i praw, na proporcyonalności pracy i jej owoców, nie uwzględnia tej naturalnej nierówności, jaka pomiędzy osobnikami ludzkimi zachodzi. Nie bierze ona w rachubę natury człowieczej; gdy zaś bierze, staje wobec fantu, z którym nie wie, co począć. Stąd w łonie socyalizmu nowoczesnego wykwitnął anarchizm, mający tę zaletę, że się do braku formuły przyznaje otwarcie i przybiera na się charakter amatorstwa rewolucyjnego.

Autor stanowczo się rozwiązywaniu kwestyi społecznej na drodze rewolucyjnej sprzeciwia. Kwestya ta, zdaniem jego, z tylu składa się szczegółów, wymagających każdy z osobna odrębnego obrobienia i wyrównania, że działalność rewolucyjna nie miałaby na to, ani możności, ani czasu. Źle by było, gdyby rewolucya upadła, gorzej, gdyby zatryumfowała: w pierwszym razie, złe obecne pozostałoby w spotęgowaniu, w drugim — brak formuły w połączeniu z brakiem ludzi do wprowadzania w życie ustroju społecznego nowego odpowiednio przysposobionych, sprowadzić by musiał zamęt, w którym zaginąć by mogły wiekową pracą ludzkości nagromadzone zdobycze cywilizacyi.

„Nie rewolucya, ale ewolucya" (rozwój). Pan J. E. Blondel w kolektywizmie wskazuje ideał społeczny a w zbliżaniu się ku niemu rozwiązanie węzła. Odpowiada to założeniu, polegającemu na traktowaniu kwestyi naukowem. Autor zgromadził wszystkie dane, jakie zgromadzić mógł, ułożył z nich zrównanie i przekonał się, że rezultatu nie sposób osiągnąć inaczej, jak przez przybliżenie. Ileż rezultatów tego rodzaju daje nam nauka śród najściślejszych najściślejsza: matematyka! Drugą cechą naukowego traktowania rzeczy jest przestrzegana przez autora metoda doświadczalna. Za dane służą mu fakty — same fakty; z faktów wyciąga wnioski; na nich opiera poglądy i nie pozwala sobie na wycieczki spekulatywne. Od faktów też oczekuje rozwiązania, którego czynnikami, według niego, są: człowiek, wolność i państwo. Rzecz naturalna, czynniki te sprzymierzyć się muszą z oświatą, przysposabiającą dla reform koniecznych, dla rozwoju, odpowiedni w ludziach materyał. Rozwiązanie nastąpi za pomocą gry swobodnej żywiołów społecznych.

T. T. Jeż.

PRACE AMERYKANÓW
NAD ROZWOJEM RELIGIJ.

Mieliśmy już sposobność zauważyć kilkakrotnie w *Prawdzie*, iż materyał etnograficzny, dostarczany socyologom europejskim przez większość podróżników, bywa często bardzo podejrzanej wartości. Z wyjątkiem faktów natury zewnętrznej, takich, jak różne sposoby techniczne, ceremonie powitania, obchody pogrzebowe, reszta, tycząca się porządków i instytucyj społecznych, bywa zwykle wiązanką luźnie zestawionych wypadków i, co gorzej, nieraz zupełnie pofałszowanych. I strona religijna ludów pierwotnych, zwłaszcza znajdujących się w stanie dzikości i niższem barbarzyństwie, nie uniknęła tego smutnego losu. Misyonarze chrześciańscy, przeniknięci kosmogonią i tradycyą swojej religii, pojmowali wierzenia, zauważone u niżej stojących szczepów ludzkości, jako zaciemnione z upływem czasu i pofałszowane, odblaski „rzetelnego" objawienia, zapisanego w księgach pierwszych Starego Zakonu. Tak, znaleźli się ludzie, którzy usiłowali przedstawić mitologię polynezyjską, jako przekręconą z wiekami naukę o Trójcy; inni znów, przesiąknięci poglądami, iż niepodobna, ażeby mogły istnieć gdzie, wśród rodu ludzkiego, grupy bez żadnego pojęcia o obrządkach religijnych, odszukiwali je w najrozmaitszych, wcale nieodpowiednich obchodach. Letourneau w swej pracy o australijczykach zanotował kilka wydarzeń tego rodzaju. Niejaki Kolben był obecnym razu jednego przy tańcach hotentockich, dość dziwnie wyglądających w jego oczach: z tego powodu zradza się u niego myśl, iż to muszą być ceremonie religijne i wbrew zapewnieniom tancerzy, iż pląsają dla własnej zabawy, zapisuje w swych notatkach, że hotentoci posiadają obchody religijne, „cokolwiekbądź w tej mierze twierdzili sami tubylcy." Wartość takich opisów można unaocznić na przykładzie zrozumialszym, w którym obrzędy europejskie odgrywają rolę hotentockich. Misyonarz pewien odprawiał mszę w obecności australijczyków; dzicy świadkowie zawyrokowali, iż w ielebny ojciec bawi się po swojemu. „Pląsa swego Jalaru" — Jalaru jest nazwa j ednego z tańców miejscowych.

Jednakże i z tych zaciemnionych i poprzekręcanych nieraz opowieści nau ce europejskiej udało się odcyfrować ni ektóre prawa, rządzące powstawaniem i rozwojem pojęć religijnych. Cała niemal w tej mierze zasługa przypadła badaczom angielskim: Tylorowi, Spencerowi, Mac Lennanowi. Spencer, zapomocą nadzwyczaj zręcznych wywodów, wyprowadził genezę dualistycznych poglądów na naturę ludzką, widzących w człowieku obok materyalnego i śmiertelnego „ciała" jeszcze istotę lotniejszą i niepochwytniejszą — „duszę." Doświadczenie pierwotnego człowieka, zaczerpnięte ze snów, było punktem wyjścia dla wywiązania się takiego przypuszczenia. Ja-

---

Hr. Scibor.

Właśnie w owej rzeczy winienem pana objaśnić, że chociaż posiadam fabrykę, same względy przemysłowo-handlowe nie pobudzą mnie do działania przeciw panu Wiszarowi. Muszę mieć tę pewność, że on narusza porządek społeczny, że targa stosunki prawidłowe, że, wogóle, szerzy chorobę moralną i ekonomiczną...

Kreisler.

Pan hrabia jeszcze nie jest o tem przekonany? No, to czekajmy wyraźniejszych skutków jego roboty.

Hr. Scibor.

Ja wiem, że on goni zwodną marę, że puszcza sztuczne ognie na sterty słomy, ale potrzebuję sumienie moje uspokoić dowodami.

Kreisler.

Innemi słowy, pan hrabia żąda koniecznie, ażeby te sterty buchnęły płomieniem? Ja tak cierpliwym być nie mogę, bo nie wątpię, że ogień w słomę rzucony zapala ją.

Służący (wchodzi).

Telegram.

Kreisler.

Daj (*czyta*). Krahn i Sp. godzą się na zniżenie cen papieru według proponowanej przeze mnie skali, jeśli wszystkie fabryki ją przyjmą. A więc czy pan hrabia obetnie cennik o 25 procent?

Hr. Scibor.

Ksawery, jesteś moim siostrzeńcem i spadkobiercą, głosujesz za tem?

Ksawery.

Tak.

Hr. Scibor.

A ty, panie Justynie?

Justyn.

Pan hrabia słyszał, że w spółce z ojcem mam tylko własne zdanie, które nie daje mi głosu.

Hr. Scibor.

Chciałbym być pewnym, że tego ode mnie wymaga dobro powszechne, nie pańskie i nie moje własne.

Kreisler.

Wszystko jedno, panie hrabio: interes jednostki rozumnej i rzetelnej jest tylko pojedynczym tonem harmonii ogólnej.

Hr. Scibor.

Znam tę muzykę interesów (*dzwonek telefonu*).

Kreisler.

Justynie zobacz, kto mówi.

Justyn (przyłożywszy ucho do trąbki).

Pan Wydmuchalski, redaktor *Gazety wieczornej* pyta, czy może widzieć się z ojcem.

Kreisler.

Owszem.

Justyn (do telefonu).

Prosi pana.

Hr. Scibor.

Rad jestem, że tu przyjdzie, to człowiek rozumny i uczony.

Kreisler.

Bardzo... bardzo... W naszej prasie to najlepszy probierz wiedzy i mądrości. Druga tedy kwestyą, nad którą powinniśmy się zastanowić jest obmyślenie sposobu przyciągnięcia robotników i uśmierzenia ich roszczeń. Nie wątpię, że rok, dwa, zwłaszcza gdy zniżymy ceny papieru, Wiszar zachwieje się, a robotnicy, nie otrzymawszy obiecanych zysków, otworzą szeroko oczy i gęby... Ale my nie możemy jedynie czekać tej pory i musimy naszych olśnić jakąś korzyścią, ażeby nas nie opuścili. Otóż czem? Chciałbym wynaleźć taki środek, któryby nas nie zobowiązywał do ofiar ciągłych, stałych..

Hr. Scibor.

Aby tylko nie zawiele błagi.

koż, wobec swej niemocy, umysł pierwotny dla wytłomaczenia mamideł sennych znalazł jeden środek — przypuścił, iż istota ludzka składa się z dwóch jestestw, z których subtelniejsze odlatuje od materyalniejszego podczas snu i buja po świecie, widziadła zaś senne są scenami z tego spędzonego w rozłączeniu życia. Nie będziemy kreślili wywodów Spencerowskich, jak z tego pierwotnego a tak prostego przypuszczenia wydobywały się z biegiem czasu coraz bardziej złożone systemy religijne aż do monoteistycznych. Wszakże wykład Spencerowski odznacza się zbytnią jednostronnością; z teoryi socyologa angielskiego wynika, iż przed sformułowaniem dwoistości jestestwa ludzkiego, człowiek spoglądał na martwe przedmioty jako na rzeczy nieożywione i dopiero z wywnioskowaniem istnienia sobowtórów podstawił pod zjawiska i przedmioty kategorye psychiczne. W ten sposób ród ludzki już z początku samego odgraniczałby świat martwy od żyjącego. Tylor, któremu zresztą należy się zasługa wcześniejszego wystawienia nauki o sobowtórze, wychodzi ze stanowiska szerszego, bo przyjmuje, że przed powstaniem przypuszczenia dwoistości natury ludzkiej człowiek pojmował już przyrodę według swych stanów subjektywnych. Mac Lennan znowu zatrzymał się nad szczególną formą wierzeń religijnych, mianowicie nad kultem zwierząt, któremu dał miano totemizmu. Spostrzegł z opisów etnograficznych, iż oddzielne grupy dzikie i barbarzyńskie czczą pewne wybrane zwierzęta, uchodzące za ich protoplastów, noszą więc wizerunki totemów na tarczach, wyrzeźbiają na domach, wreszcie powstrzymują się od zabijania i nawet spożywania odpowiednich gatunków.

Jednakże wobec pogromu, sprawionego w wywodach socyologii gabinetowej przez sumienniejsze i systematyczniejsze badania nad bytem społecznym ludów pierwotnych, niż zawarte w opisach dorywczych i subjektywnych spostrzegaczy, można spodziewać się, iż i w sferze studyów nad genezą religij podobne poszukiwania dodałyby wiele nowych poglądów i obaliły niejedno uogólnienie, wysnute na zasadzie luźnie zgromadzonych wiadomości. I istotnie, badania prowadzone w ostatnich czasach przez etnologów amerykańskich nad szczątkami ras czerwonoskórych, nadają temu przypuszczeniu sporą dozę prawdopodobieństwa. Mianowicie mamy tu na myśli szereg rozpraw, ogłaszanych od 1880 r. w rocznikach waszyngtońskiego biura etnologicznego, a tyczących się mitologii indyan Ameryki północnej; dostarczają one mnóstwa cennych spostrzeżeń, lubo podzielają los prac Morganowskich — są mało znane i być może, poniekąd pomijane. O wartości ich możemy sądzić chociażby z takich faktów, iż Cushing, autor monografii o mitologii plemienia zuniów, znalazł się wśród nich jako członek naukowej wyprawy, wysłanej przez rząd Stanów Zjednoczonych w celu zbadania indyan osiadłych w N. Meksyku; gdy wyprawa wracała, uczony ten, przygotowany fachowo do studyów etnograficznych, pozostał u tubylców w zamiarze prowadzenia systematycznych spostrzeżeń, przybrał ich ubiór, zwyczaje, wyuczył się języka i w takim stopniu pozyskał zaufanie jednego plemienia, iż został wybrany do rządu i wtajemniczony w obrzędy wiary. Wprawdzie wszystkie te prace przedstawiają zaledwie drobne monografie, kreślące stan religijny u oddzielnych plemion i niewyczerpujące po za tę wązką arenę. Mamy więc tu do czynienia raczej z surowym materyałem, oczekującym dopiero od przyszłości powiązania ogólniejszego. W każdym jednak razie i obecnie, jeżeli je zestawimy z pracami Morgana, zostajemy uderzeni niezwykłą zawisłością pomiędzy poglądami religijnymi, a wyłożonym w *Społeczeństwie pierwotnem* ustrojem społecznym. W całej swej pełni wychodzi na jaw prawda, jak niewiele obiecującem jest traktowanie różnych stron pożycia społecznego niezależnie jedne od drugich, oraz jak niepełnemi i wadliwemi są nawet najlepsze źródła, z których korzysta socyologia. Dla udowodnienia weźmy chociażby Mac Lennana, którego wywody co do dziejów rodziny i małżeństwa prysły tak niefortunnie pod ciosami krytyki Morgana. Jakeśmy powiedzieli, wystawił on teoryę totemizmu. Otóż cała wartość jego pracy sprowadza się zaledwie do tego, iż zanotował kilka, powszechnie na globie ziemskim spotykanych faktów, jak, że plemiona, wywodzące się od pewnego zwierzęcia, noszą jego godła, nie jedzą mięsa itd. Socyolog wszakże ten, zręczny i wykształcony, lecz niefortunny, ani podejrzywał całej doniosłości przedmiotu, o który potrącił. Zresztą inaczej być nie mogło wobec nieznajomości istoty społeczeństw, wyznających totemizm. Czytelnik, któremu nie są obce prace Morgana, wie, iż jednostkę społeczną u czerwonoskórych stanowi ród, grupa osób, wywodząca się od wspólnego przodka i niemająca prawa do wzajemnego pomiędzy sobą obcowania małżeńskiego. Pewna ilość pokrewnych rodów składa się na bractwo, kilka bractw na plemię. Rody noszą nazwisko jakiegoś zwierzęcia lub rośliny, czasami nawet przedmiotu martwego; u jowów np. zowią się one wilk, łoś, orzeł itd. Otóż totemizm jest religią, właściwą takiemu ustrojowi społecznemu i może być pojęty jedynie, kiedy znamy to podścielisko ustrojowe. Jest to w dosłownem znaczeniu przeniesienie doczesności rodowej ziemskiej w dziedzinę kosmogonii, filozofii i religii. Ród każdy wyprowadza się od protoplasty, zwierzęcia lub rośliny, którego imię i godło nosi (zowią się one totemami; Mac Lennan zapożyczył nazwę, lecz na tem i poprzestał). Tak u oibwów co do rodu żórawia istnieje podanie, iż para żórawi leciała niegdyś nad ziemią, upatrując dogodnego żerowiska i została przemieniona przez Wielkiego Ducha w mężczyznę i kobietę, przodków odnośnego rodu. Zwierzę to uważa się za bóstwo opiekuńcze i tem tłomaczy się odpowiednie praktyki, iż ród nie może zabijać zwierzęcia-totemu, co wiąże się z wiarą, iż zmarli rodowcy przybierają jego postać itd. Nie dość tego. Na podścielisku ustroju rodowego, gdzie każde ogniwo społeczne łączy się z innemi węzłami pokrewieństwa, wzniesiono stosowny systemat filozoficzny. Czerwonoskórzy wychodzą z fazy, kiedy całą przyrodę pojmowano według ludzkich stanów subjektywnych, a więc wszędzie widziano życie. Wszystkie przedmioty i zjawiska układają w jedno plemię kosmogoniczne, rozpadające się, wzorem społeczności ludzkiej, na bliższe i dalsze ogniwa krewniacze — bractwa i rody. Przynależność do jakiegoś rodu wyznacza się na zasadzie istniejącego podobieństwa pomiędzy przedmiotami. Więc wąż i błyskawica są z jednego rodu, do którego między innemi należy jeszcze i strzała kamienna, wyrobiona ręką ludzką, na dowód tego pokrewieństwa wytwórca pokrywa ją wężykowatemi liniami. Co więcej, przedmioty, należące do jednego rodu, są uszeregowane hierarchicznie, jak wśród rodowości; mamy tu przewódców, radę itd. W tym systemie człowiek zajmuje najpośledniejsze miejsce, jako jestestwo najbardziej zależne od wpływów zewnętrznych i najmniej tajemnicze i każdy ród ziemski przymyka do odpowiedniego kosmogonicznego.

Badania powyższe zyskują na znaczeniu, jeżeli uwzględnimy fakty, zauważone wśród innych szczepów ludzkości. Kobong australijski w zupełności odpowiada totemowi; kult zwierząt wraz z zakazem zabijania i spożywania mięsa w zakresie grup drobnych spotykamy również u malajów, polynezyjczyków, murzynów, mongołów. Można więc z pewnem prawdopodobieństwem

---

Kreisler.

Odrobina jej będzie niezbędną. Czy panowie nie uznajecie za stosowne zakupić wszystkim kartofli po 5 korcy na rodzinę?

Hr. Scibor.

Rozśmieją się i dopatrzą w tem obawę.

Kreisler.

Rzeczywiście. A gdyby dla każdego nowonarodzonego w roku bieżącym dziecka złożyć do kasy wsparcia dukata w złocie?

Hr. Scibor.

Nie pobudzajże pan ich płodności, skoro nie myślisz jej skutków nadal dukatami okładać.

Kreisler (śmiejąc się).

Albo oni czekają na zachętę! Zauważę przytem, że nawet większa wydajność tego plonu z czasem zwróciłaby nam nakład w tańszej pracy dzieci, które dla fabrykantów są zawsze dobrym interesem.

Hr. Scibor.

Wszystko to są sztuczki, z których spekulacya za zbyt wyłazi na wierzch.

Ksawery.

A może się panom przyda mój pomysł...

Kreisler.

Słuchamy.

Ksawery.

Według mnie, najodpowiedniejszą byłaby tu loterya, którą lud nasz bardzo lubi i która najmocniej oddziaływałaby na namiętności, a nie kosztowała wiele. Ustanowić w fabryce dwie wygrane: jedną 1,000, drugą 500 złotych reńskich, rozdać robotnikom bilety, a przy końcu roku urządzić ciągnienie. Obdarzonych będzie tylko dwu, ale podnieceni wszyscy. Nadto ci dwaj nagłem zbogaceniem się będą dla innych widocznym przykładem pracy u nas i utrzymają w nich nadzieję zdobycia podobnego losu. Gdy potrzeba takiego środka zniknie, można go będzie wprost znieść, usprawiedliwiwszy się, że rząd zakazał.

Kreisler.

Panie, jesteś mądrym, dowcipnym, genialnym. Każde słowo zamienia mi się w ustach na wyraz uznania i wdzięczności.

Hr. Scibor.

Ksawery, czy ty doradzasz to poważnie?

Ksawery.

Jeżeli tylko mój pomysł panom się przyda, oddaję go do użytku najpoważniej. Nie widzę lepszego.

Kreisler.

Lepszym żaden być nie może.

Hr. Scibor.

Tak... rachubę wytrzymuje... ale.. Prawda, tu pieczętują się nie honorem, ale interesem... Wolałbym być młodszym lub do was podobnym. (*Justyn oddala się*).

Kreisler (do Ksawerego).

Mój panie zięciu...

Hr. Scibor.

Pan im ślub dajesz bez księdza...

Kreisler.

I on da... Panie zięciu, jak to dobrze, że moja córka ciebie wybrała. Widzisz Justynie... Gdzie on? Ręczę panom, że wiersze pisze...

Hr. Scibor.

Przynajmniej wie, że nie grzeszy... Postąp Ksawery, jak ci sumienie poradzi. Podpisz umowę w mojem imieniu lub nie — godzę się z tobą (*do Kreislera*). Do widzenia z panem (*chce odejść*).

Służący.

Pan Wydmuchalski.

Kreisler.

Wszakże pan hrabia pragnął się z nim zobaczyć...

Hr. Scibor.

Tak — zostanę (*wchodzi Wydmuchalski*).

sądzić, iż w nauce o dziejach religii prace etnologów amerykańskich otwierają nową, obfitą w następstwa dziedzinę. Dla uniknięcia gołosłowności, zatrzymamy się nad kilkoma przykładami z Afryki. Murzyni ze Złotego wybrzeża wierzą w wongów; są to istoty wyższe, zamieszkujące pomiędzy niebem a ziemią, obumierające, zmartwychwstające i wydające potomstwo, uszeregowane w krewniacze grupy z hierarchiczną organizacyą według doczesności społecznej. Te wongi są wprost przedmiotami przyrody (lub, być może, każdy przedmiot ma odpowiedniego wonga); tak, morze wraz z wszystkiemi rzeczami, zawartemi w jego łonie, rzekami, źródłami itd. przedstawia jedną grupę krewniaczą. W każdej grupie, obok przedmiotów-bóstw, pomieszczono przedmioty, na które schodzą od czasu do czasu odpowiednie wongi. Podobne wydzielenie spotykamy i w rodach kosmogonicznych u czerwonoskórych i w obu przypadkach służy ono za podstawę dla praktyk kapłańsko-wróżbiarskich. Że w Afryce mamy do czynienia z filozofią kosmogoniczną, zauważoną w Ameryce, za tem przemawia i to, że oddzielne „rodziny“ murzyńskie powstrzymują się od jedzenia czczonych zwierząt i że grupy takie o wspólnych „fetyszach“ nigdy nie zawierają pomiędzy sobą związków małżeńskich. Prawdopodobna, iż i wybór talizmanów u murzynów znajduje się w zależności od organizacyi wongów. W ten sposób fetyszyzm murzyński, tak poplątany i niedorzeczny w oczach etnologów, zyskałby oparcie niespodziewane. Znaczenie badań amerykańskich zarysuje się jeszcze bardziej, jeżeli zwrócimy uwagę, jako religia starożytnych egipcyan była oparta na kulcie zwierząt i że te ostatnie pierwiastkowo przedstawiały bóstwo opiekuńcze okręgów, odpowiadających, zdaniem Lipperta, jednostkom osiadłego ustroju rodowego. Być może i myty zwierzęco kosmogoniczne ludów starożytnych, w których Max Müller, Réville i in. gwałtem upatrują epopeję słoneczną, znajdują się w związku z wyrosłą na tle rodowości kosmogonią.

Zresztą, prócz pojedynczych monografij, etnologia amerykańska z lat ostatnich wyłoniła i próbę uogólnienia zdobytych rezultatów. Zasługa należy się przyjacielowi Morgana, Powell'owi, człowiekowi zbliska znającemu byt czerwonoskórych i który wzbogacił naukę kilku cennemi rozprawami socyalistycznemi. Dlań dzieje religii stanowią kartkę z rozwoju myśli kosmogoniczno-filozoficznej; w ewolucyi filozoficznej rozróżnia on dwa okresy: w pierwszym, mitologicznym, człowiek usiłuje wyjaśnić wszystkie zjawiska zapomocą faktów, zaczerpniętych z doświadczenia subjektywnego, w drugim, naukowym, rzuca zamiar wytłomaczenia istoty wszechświata i poszukuje istniejącego pomiędzy zjawiskami związku przyczynowościowego. Okres mitologiczny rozpada się na cztery kolejne fazy. W najpierwotniejszej, która ocalała jedynie w postaci szczątkowej, wszystkie przedmioty uchodzą za obdarzone życiem, zwierzęta posiadają właściwości człowieka, bryły martwe czują, rośliny myślą i mówią, kamienie kochają i nienawidzą, góry i doliny, gwiazdy i wody oddychają namiętnościami ludzkiemi. Z hekastoteizmu takiego wyłania się zooteizm, rozpatrywany już pod nazwą totemizmu. Martwe przedmioty wyłączono z pośród bóstw, tylko niektóre są czasowemi siedliskami istot wyższych; świat zwierzęcy jedynie utrzymał się przy dawnem znaczeniu. Człowiek coraz mniej przenosi swe stany subjektywne w świat zewnętrzny, natomiast pod zjawiska przyrody poczyna podstawiać postacie ludzkie, które czyni sprawcami wszelkich wydarzeń, czczone zaś zwierzęta zaprzęga w służbę tych nowych bogów (fizyteizm). Z upływem czasu istoty te coraz silniej przyoblekają charakter etyczny i zamieniają się na kategorye etyczno-społeczne (psychoteizm). Rozwój ten, zatrzymany w połowie drogi, stwarza religie panteistyczne, doprowadzony zaś do ostatecznych granic, wydaje monoteizm. Zresztą ewolucya religijna nie kroczy w ściśle odgraniczonych fazach, gdyż wcześniejsze plączą się z późniejszemi, lecz zawsze postępuje w zależności od rozwoju instytucyj społecznych: hekastoteizm jest kosmogonią pierwotnej hordy, zooteizm — rodowości itd.

Teorya Powella jest zestawieniem faktów bezpośrednio zauważonych; z teoryj europejskich w szczególny sposób zbliża się do niej Tylorowska. W dalsze szczegóły nie wdajemy się, szło bowiem nam nie tyle o drobiazgowe przedstawienie, trudne zresztą z powodu, iż wydawnictwa amerykańskie należą w Europie do białych kruków, ile o zwrócenie uwagi, że istnieją dochodzenia naukowe, mało znane, lubo dające na przyszłość wielkie nadzieje. *Lud. Krz.*

ODCZYTY NA OSADY ROLNE.

VI.

Że aż w trzech wykładach publicznych dr Ochorowicz bronił hypnotyzmu, temu się nie dziwić: toć poprzednio aż cztery poświęcone były bądź krytyce (dr Fabian), bądź podjazdowym napaściom... pod osłoną palm.

Głośny autor dzieła *O poddawaniu myślnem* wybrał drogę ukośną dla swej repliki; zamiast odpierać jeden po drugim zarzuty przeciwników i nadawać swemu wystąpieniu cechę formalnego odbijania ciosów, wolał ukryć cel ten w pogadance o „dziejach hypnotyzmu i magnetyzmu.“ To pozwoliło mu przedstawić wymownie koleje, jakich doświadczała ciekawa sfera zjawisk w nauce i społeczeństwie, odmalować walki z niemi staczane, porażki i zwycięztwa. A że rezultatem ostatecznym był tryumf, więc wniosek stąd prosty, iż wstręt do hypnotyzmu i jego zastosowań, okazywany tak powszechnie w naszych kołach lekarskich, jest tamą, wstrzymującą na chwilę potok prawdy, ale niezdolną do schowania jej na zawsze pod korzec.

Faktów historycznych prelegent słuchaczom nie żałował. Zaczął od stanu lecznictwa w dobie, na długo poprzedzającej pojawienie się pierwszych prac nad hypnotyzmem i zaznaczył główne kierunki, jakie ono aż do najnowszych czasów przechodziło, zwłaszcza od chwili oporu przeciwko wszechwładnej niegdyś polifarmacyi, czyli dążności do nadużywania leków. Dla charakterystyki wspomniał o Bouvardzie, lekarzu przybocznym Ludwika XIV, któremu bez miłosierdzia zadawano środki wymiotne i przeczyszczające, w ilościach prawdziwie olbrzymich. Potem naszkicował szkołę Boerhaaena, energicznie powstającą przeciw kuchni łacińskiej i nawołującą do radzenia się natury, co dosadnie opiewa testament założyciela w trzech znanych maksymach: trzymaj się ciepło, głowę—chłodno i unikaj lekarstw.

W dalszym ciągu zapanowały teorye mechaniczne życia, wyznawane przez Hallera i Vansietena, wykluczające zupełnie znaczenie czynników duchowych w stanach chorobliwych, poczem przerzucono się w drugą ostateczność — animizm, głoszony przez Stahla i skłonny upatrywać przyczynę wszystkich chorób w duszy. Nie bez wpływu w następstwie została doktryna Browna, lekarza samouczka i awanturnika; opierała się ona na pobudliwości, twierdząc, iż źródłem nieprawidłowego funkcyonowania narządów jest ich niedostateczne lub nadmierne pobudzanie, że przeto medycyna powinna być skierowaną ku przywracaniu odpowiedniej równowagi. Pomiędzy animistami wsławił się lekarz Bordeaux, pomiędzy zwolennikami leczenia łagodnymi środkami Bardaise.

SCENA IX.

Ciż i Wydmuchalski.

Kreisler (spiesząc ku Wydmuchalskiemu).

Sługa szanownego pana (*cicho*). Wolałbym, ażeby hrabia nie wiedział, że pana o przybycie prosiłem.

Wydmuchalski.

Dobrze (*głośno*). Bądź pan łaskaw ostrzedz mnie, jeśli przeszkadzam.

Kreisler.

Przeciwnie, jest pan nawet w tej chwili bardzo dla nas pożądany. Prawda, panie hrabio?

Hr. Scibor.

Istotnie (*podaje rękę Wydmuchalskiemu, który wita się również z Ksawerym*).

Wydmuchalski.

Przyszedłem tu z interesem, a spotkał mnie zaszczyt.

Hr. Scibor.

Chcielibyśmy usłyszeć zdanie pańskie w pewnej sprawie społecznej. Wiesz pan— bo w dzienniku swoim tego faktu lekko dotknąłeś — że pan Wiszar swoją fabrykę...

Wydmuchalski.

Dziwny traf! Nietylko znam ten dziki wybryk, ale on właśnie mnie tu sprowadził. Doniesiono mi, że ekonomiczny bzik pana Wiszara nie jest już pryszczem miejscowym, lecz rozszerza się i grozi niebezpieczną wysypką całemu przemysłowi naszemu... Czy tak?

Kreisler.

Groźniejsze to trochę, niż pierwotnie przypuszczaliśmy.

Wydmuchalski.

Czy panowie nie obmyśliliście żadnych środków zapobiegawczych?

Hr. Scibor.

Owszem, na wniosek pana Kreislera postanowiliśmy: naprzód zniżyć cenę wszelkich papierów o część czwartą i postawić pana Wiszara w niemożności osiągania zysków, które zapewnił robotnikom; a powtóre dla uśmierzenia i zachęcenia czeladzi naszej urządzić loteryę pieniężną, z dwiema wygranemi, po 1,000 i 500 guldenów. Czy pan to uważa za godziwe?

Wydmuchalski.

Więcej — za niezbędne. Zwłaszcza pomysł loteryi jest wyśmienity.

Hr. Scibor.

Sądzisz pan, że opinia publiczna nas nie skarci.

Wydmuchalski.

Opinia publiczna, panie hrabio, jest to echo głosu prasy poważnej. Pismo moje stanowi tylko jeden jej organ, ale, pochlebiam sobie, nie najmniej słuchany i nie najmniej donośny. Ozwą się wrzaski warchołów dziennikarskich, ludzi, którzy z przeczenia tego, co my robimy i mówimy, wytwarzają swoje pojęcia i zasady, ale żaden pociąg nie wykolejа się i nie zatrzymuje dlatego, że pastuchy mu wygrażają i języki pokazują. A jeżeli nawet jakiś złośliwiec położy kłodę na szynach, państwo ma czujnych dróżników, którzy go złapią i w ręce sprawiedliwości oddadzą.

Kreisler.

Naturalnie.

Hr. Scibor.

Czy my jednak nie gwałcimy cudzej swobody?

(D. c. n.).

Wymienione tu postacie, stanowiące, rzecz prosta, tylko część ogólnej liczby uczczonych przez d-ra Ochorowicza — wraz ze swoją działalnością— były w pierwszym odczycie przedmiotem bliższej, zbyt może troskliwej uwagi prelegenta wobec roli, jaką cały ten wstęp przed-hypnotyczny miał odegrać. Szło widocznie o odtworzenie zamętu, śmiesznostek i płytkości, znamionujących medycynę zeszłego wieku, ażeby tem lepiej uwydatnić wartość mesmeryzmu, jako nowej metody leczenia. Zamiar ten równie skutecznie spełnionym mógł być i bez ogromnego balastu anegdot biograficznych, niesłychanie słabo powiązanych z myślą przewodnią introdukcyi.

Ten sam balast obciąża i drugi wykład, poświęcony już specyalnie martyrologii hypnotyzmu, ale zarazem pełen bardzo zajmujących i istotnie ciekawych wspomnień. Pierwszym i głównym ich bohaterem — Mesmer. On to pierwszy spostrzegł działanie magnesu na organizm ludzki a następnie i zwyczajnych pociągów magnetycznych bez pomocy odpowiednich blach, których używał pierwotnie. Dzieje tego człowieka, niewątpliwie szczególnego, choć może wyidealizowanego nieco przez d-ra Ochorowicza są bardzo pouczające. Pomimo bowiem znakomitych rezultatów osiąganych w Paryżu, które aż zwróciły uwagę dworu królewskiego, a osobliwie Maryi Antoniny, pomimo wyleczenia córki sekretarza królewskiego, dotąd bezskutecznie i coraz ryzykowniej leczonej na ślepotę, został w końcu odsądzony od czci i wiary. Był on zresztą sam na tyle prawy, iż ofiarowanych sobie zaszczytnych tytułów i pensyi przyjąć nie chciał, pragnąc uznania jedynie ze strony ciał naukowych i pierwszy uchylił czoła przed jednym z antagonistów, który w sposób nader zręczny wytykał błędy jego teoryi i strącał zasługi magnetyzmu na korzyść zwykłych czynników duchowych, jak imaginacya. Godzi się nadmienić, że pomimo potępiającego wyroku, jaki nań wydała osobna komisya, między swymi zwolennikami liczył takie znakomitości ówczesne i umysły nieśmiertelne, jak Laplace, Jussieu i Cuvier.

Z tem wszystkiem magnetyzm nie zeszedł z Mesmerem do grobu. Zajmują się nim lekarze, naturalnie pokryjomu, ażeby nie ściągać klątwy wydziału medycznego i ludzie prywatni, jak margrabia Puy Legoi, filantrop, który w dobrach swych na szeroką skalę praktykował leczenie magnetyzmem wszelkich chorób i dolegliwości. Z czasem tak wielką zjednał sobie klientelę, że musiał uciec się do „magnetyzowania drzew," do których przywiązywane medya miały podobno zdolność odgadywania odrazu choroby w zgłaszających się pacyentach. Dziwny ten fakt prelegent radzi przyjmować z zastrzeżeniem.

Ciekawy moment w losach magnetyzmu znamionuje portugalczyk Faria, który w salonie swym, w Paryżu, wielu zebranym pokazywał doświadczenia zdumiewające, energicznie powstając zarazem przeciw wierze w cudowność magnetyzmu i tłomacząc go działaniem prostem umysłu na umysł. Śmiały ten i sumienny badacz został wyszydzony i okrzyczany. Z audytoryum jego ocalał jednak słuchacz bardzo cenny, najpierw oporny a później żarliwy współszermierz, generał Noiret, autor dzieła o somnambulizmie. Świat lakarski jednak dalej przybrał postawę nieprzyjazną pomimo zdumiewających dowodów, dostarczonych przez Dupoteta, ktory studentem jeszcze wyleczył chorą kobietę w szpitalu, oraz Chatelina, który innej wycina raka na piersi, znieczuliwszy ją poprzednio magnetyzmem.

Do tego czasu Akademia paryska nieraz już była nagabywaną przez ludzi bezstronnych, ażeby zbadała kwestyę magnetyzmu. Nietylko jednak uważała za ubliżające jej powadze, ale surowo karała każdego członka, który ośmielił się stawać w obronie wyśmianej i nienawidzonej metody. Wszelako magnetyzm tak uporczywie przypominał się niektórymi swymi tryumfami w dziedzinie praktycznej, że gdy w r. 1825 jeden z odważniejszych akademików raz jeszcze zażądał zbadania sprawy — ku powszechnemu zgorszeniu rada z najpoważniejszych i niedowierzających mężów złożona oświadczyła się za tem, iż Akademii nie uczyni ujmy zajęcie się tym przedmiotem. A druga komisya, już dla zbadania wartości leczniczej magnetyzmu wyznaczona, złożyła raport, uznający, iż „można zaliczyć magnetyzm w poczet środków leczniczych." Był to prawdziwy skandal, a wyrzuty sumienia akademia zagłuszać musiała sofizmatem, że nowy magnetyzm różni się całkowicie od Mesmerowskiego i że zatem ma ona wszelką zasadę zmieniać dawne swe orzeczenia.

Pomyślny ten dla magnetyzmu zwrot żadnych owoców nie przyniósł — zwycięztwo jego rychło puszczono w niepamięć.

(D. n.)

N. H.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Eliza Orzeszkowa. *Panna Antonina*, tom I. *W zimowy wieczór*, tom I. Warszawa, 1888.

Lotną jest ta moda francuzka, skoro zdążyła już dotrzeć do... Ongrodu i na wiązankach nowel osiadłej tam powieściopisarki kłaść nagłówki nie zbiorowe, lecz od pojedynczych opowieści pożyczane. Wprawdzie książka na tem nic a nic nie traci, ale że zwyczaj sam jest dość bezmyślny i nieusprawiedliwiony żadnym poważniejszym względem, więc, mojem zdaniem, naśladownictwo nie przystoi zgoła autorom szanującym się.

No — ale o to mniejsza. Z *Panną Antoniną* sąsiaduje w tym samym tomie *Dobra pani* i *Romanowa*. W drugim zaś prócz wymienionego na czele, znajdujemy jeszcze cztery: *Przy dochodzeniu śledczem*, *Tadeusz*, *Gedali* i *A B C*... Razem wzięte tworzą jeden wielki obraz nędzy i niedoli.

Nie jednakowej są one wartości — takich przecie, któreby nie zasługiwały na bliższą wzmiankę, niema wcale; a niektórym należy się coś więcej nad chłodny wyraz uznania. Do tych niewątpliwie zaliczyć wypada *Romanową*. Treść jej najbłahsza w świecie: koleje życia kobiety wiejskiej, którą stopniowo ogołocił los ze wszelkiego szczęścia i pociechy. Była ukochaną żoną dzielnego pocztyliona, pieszczoną i na rękach uoszoną — owdowiała rychło, bo mąż puściwszy się w drogę, nocy ciemnej i burzliwej, utonął gdzieś w rzece. Była matką tęgiego chłopaka, którego udało jej się wykierować na zdolnego rzemieślnika; pracowała dla niego w ciężkiej służbie i pyszniła się nim przed ludźmi. Chłopak jednak, obdarzony temperamentem po ojcu ognistym, ruchliwym i czynnym, nie mogąc dać ujścia rwącej się do życia naturze w dniach bezrobocia, gasić poczyna wewnętrzny ogień wódką — i staje się bohaterem ponurego dramatu, w którym spoczywa punkt ciężkości całego opowiadania, dramatu moralnego upadku. Miłość matki pojmującej, czem grozi okropny debiut, podtrzymuje w nim ambicyę i jaką taką siłę woli i sprowadza dosyć długie w pijaństwie przerwy. Przyczynia się do nich gorące uczucie dla pięknej córki przedsiębiorcy, którego jest robotnikiem, dosyć przychylnie przez rodziców jej widziane, wobec wielkich zalet młodego murarza. Ale nuda w pewnych chwilach trudna do odpędzenia, łamie wstyd i wabi do szynku. Stara cierpi katusze i zapytywana przez ludzi, co porabia syn, który podówczas leży spity za piecem, okłamuje ich i wreszcie siebie, gdyż nie ma mocy wyznać i uwierzyć, że jej duma, jej radość tak sromotnie zostały podeptane. Powstrzymuje jak może syna od włóczęgi; kosztem dotkliwych ciosów i obelg broni ostatniego grosza i drzwi sobą zagradza; tonie we łzach, szepcząc tylko jedną modlitwę upokorzenia: „cicho, cicho, o Boże mój, Boże, cicho synku!" Nic to nie pomaga — fatalny nałóg rozhulał się po swojemu; pod jego wpływem chłopak zaczepił brutalnie przed kościołem ukochaną dziewczynę i pozbawił się tem ostatniego ogniwa, wiążącego go z lepszym światem. A gdy dla zmarniałego do najdalszych granic upodlenia, nędzy, głodu i hańby stara wyjednywa litość w rodzinie pracodawcy i obietnicę zarobku — do pokoju wpada kamień rozkielznanego na ulicy awanturnika i owoc próśb błagalnych obraca w niwecz. Wreszcie opór władzy i obelga wyrządzona jej przedstawicielowi, zamknęła nieszczęsnego w murach więzienia.

Romanowa jest jak gdyby sobowtórem Krystyny z *Nizin*. W obie jednakowo silne walą gromy: jedna chce ratować dziecko od wojska, druga od zezwierzęcenia. Choć jednak typu znanego, *Romanowa* jest kreacyą *pierwszorzędnej wartości*. Staczanie się w przepaść młodego opilca i pociąganie za sobą matki, autorka odmalowała z zadziwiającą wypukłością; każdy szczebel upadku tak naturalnie wypływa z poprzedniego, iż przypuszczać się godzi w dziele modelowania go długą obserwacyę, matematycznie ścisłą, gdy chodzi o przyczynowość, psychiatrycznie wierną, gdy chodzi o charakterystykę choroby. Rzecz prosta tedy, że opowieść robi wrażenie potężne, przygnębiające. Ale przytem ukrywa się w niem ledwie dostrzeżone pod fabułą wzorowo-artystyczną — jąderko tendencyi; a jest nią skarga na brak instytucyj, któreby dając przyzwoitą rozrywkę, mogły odciągać fale ludu od karczem. Podobną myśl, jeno przyobleczoną w kształty całkowitego projektu wielkiej resursy dla tłumu, poruszyła przed paru laty jedna z powieści angielskich, a rok temu dom dla niej naszkicowany już został na bruku londyńskim. Powieść p. Orzeszkowej mogłaby z ogromnym pożytkiem obiegać masy, a jak się do tego nadaje, widać stąd, że gdy zwróciliśmy na nią uwagę jednego z krzewicieli oświaty śród ludu, pokazał nam *Romanową* na liście przygotowanych w takim właśnie celu utworów...

Do rozpowszechnienia *Gedalego* zachęcać już nie trzeba. Już pono zajrzał do chat chłopskich piękny ten utwór, natchniony jak wszystkie pokrewne mu rodzajem — wielkiem współczuciem dla paryasów. Wie już każdy, jak i co pisze o żydach autorka *Meira Ezofowicza* i *Silnego Samsona*. Tu przedstawia wynędzniałego kramarza wędrownego, który straciwszy dobrobyt, dla wyżywienia licznej rodziny pędzi ze wsi do wsi, mimo wyniszczonej suchotami piersi. Zdybał go syn rolnika w grochu, którym zaspokoić chciał kilkodniowy głód — i zaprowadził do ojca. Ten jednak na widok bezdennej nędzy nie szukał zemsty, owszem wraz z domownikami ulitował się nad biedactwem, dał zarobić trochę grosza, chciał nawet nakarmić, ale napotkał niepokonany opór w prawowierności biedaka. A biedak to pełen marzeń mesyanicznych, pełen wiary, że nastanie kiedyś, jak wróżą mędrcy hebrajscy, okres powszechnej miłości i miłosierdzia. To marzycielstwo w ciele okrytem łachmanami jest obrazkiem wysoce poetycznym. Współczucie gospodarza szorstko odbija od okrucieństwa i bezwzględności goszczącego u niego sąsiada i tchnie głęboko odczutą ewangelią humanizmu.

Jeszcze więcej poetyckiego zakroju posiada dramat *W zimowy wieczór*. W chacie zebrała się rodzina wieśniacza i gawędzi o pojawieniu się w okolicy strasznego zbója. Wkrótce grono to, tworzące niezrówna-

ny obrazek rodzajowy, powiększa nieznany jakiś przybysz, proszący o chwilowy przytułek. Z rozmowy okazuje się, iż jest to dziecię tej samej chaty, przed laty dwudziestu w kajdanach za przestępstwa uprowadzone. Nie zgaduje tego nikt, prócz ojca, starca żelaznej woli, siły i zasad. Zawiązuje się między wyrodnym synem a rodzicem niema rozmowa, pełna błagań o przebaczenie z jednej strony, a surowości z drugiej. Wtem parobczaki w zagadkowej postaci przybysza zaczynają dopatrywać się tajemniczego zbója, pytają o papiery, wystraszonego i próbującego uciec krępują powrozami — lecz stary wzruszył się pokorą i prośbami, puścił go na wolność wbrew opozycyi młodych i oddał, łzę uroniwszy, tej samej otchłani sieroctwa i tułaczki bezmiernej, z której nieszczęsny ex-winowajca zajrzał na chwilę pod domową strzechę.

Jest w tej postaci skruszonego zbrodniarza, rzuconego napowrót losom, niepoznanego przez braci, odepchniętego przez granitową w swej moralności duszę ojca — ból, smutek i tęsknota, o których wyobrażenia wzmianka sprawozdawcza dać nie może. I bardzo naturalnie — *W zimowy wieczór* nie ma w sobie nic realnego, a więc i zwyklej miary boleści do bohatera stosować nie można. Jest to fantazya — nieprawdopodobnie rzadki wypadek z martyrologii *Nizin*, w której opiewaniu lubuje się powieściopisarka. Pomimo całego realizmu tła wieśniaczego i pojedynczych postaci—wszystko jest tu poezyą: i nadludzki hart ducha w kmieciu-ojcu, i kajanie się grzesznika-syna, i w mgłę tajemnicy spowite jego odwiedziny — poezyą godną tego, by jej cały świat bił oklask...

(D. n.)

KAZIMIERZ JAROCHOWSKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

Nad tym grobem przyjacielska reklama lub wynajęta płaczka nie potrzebuje rozkrzykiwać żalów i pobudzać do łez orszaku, który ma oczy suche. Umarł bowiem człowiek dużej a rzetelnej miary, czystego charakteru i głębokiego serca. Zarówno śród historyków naszych, jak działaczów publicznych, zajmował on stanowisko wybitne i powszechnym szacunkiem otoczone.

Śmierć uprowadziła go nam, zanim opuścił strudzone po pracy ręce, bo nie pozwoliła mu nawet dokończyć szóstej dziesiątki lat wieku. Urodził się Jarochowski 1829 r. w Sokolnikach Małych (w Szamotulskiem). Z chwilowemi przerwami podczas burz politycznych w latach 1846 i 48, ukończył gimnazyum Maryi Magdaleny i uniwersytet w Berlinie. Od r. 1850 rozpoczął służbę prawniczą, w której doszedł do urzędu sędziego w Poznaniu, skąd go, przy przesadzaniu polaków w prowincye niemieckie, przeniesiono (1880) do Sulencina (w Brandeburgii). Tu wytrwał zaledwie półtora roku i podał się do uwolnienia, wróciwszy do ziemi ojczystej. Roku zeszłego wybrano go na posła do sejmu pruskiego, gdzie kilkakrotnie zabierał głos w sprawach ważniejszych; postępująca jednak choroba serca nie pozwoliła mu rozwinąć większej energii.

Od lat wczesnych poświęcił się badaniom dziejów Polski, rozjaśniając rozmaite ich momenty w rozprawach i artykułach. Szczegółową jednak uwagę zwrócił i główne wysiłki swe skierował na epokę saską. Owocną i gruntowną pracę otworzył wydaniem *Teki arcyb. Gabryela Podoskiego*, a wspaniale rozwinął w księgach: *Dzieje panowania Augusta II od śmierci Jana III do wstąpienia Karola XII na ziemię polską* (1856), oraz ciąg dalszy *Dzieje panowania Augusta II... do elekcyi Stan. Leszczyńskiego* (1874). Dzieła te, oparte na mozolnych i rozległych poszukiwaniach, na świeżo wydobytym i krytycznie zużytkowanym materyale stanowią główny pomnik zasług naukowych Jarochowskiego. Oprócz nich wydał kilka zbiorów pod tytułem „Studyów“ i „Opowiadań,“ zawierających bardzo cenne monografie, przeważnie odnoszące się do tejże epoki saskiej. Jednocześnie zasilał artykułami wiele pism poznańskich i warszawskich, między któremi i *Prawda* korzystała z jego cennego współpracownictwa.

Umysł z natury badawczy i krytyczny, nadto ukształcony w gruntownych szkołach niemieckich, czynił z Jarochowskiego siłę naukową pierwszorzędną. Zajęcie służbowe, a później zarobkowe, wreszcie oddalenie od źródeł naukowych — warunki te ograniczyły płodność dziejopisarską nieboszczyka, która w innych, pomyślniejszych objawiłaby się niezawodnie obficiej. Ale i te prace, których dokonał, opłacają jego imię wieńcem, który na trumnie nie więdnie. Zwłaszcza zaś późniejsi badacze panowania Sasów od Jarochowskiego uczyć się i jego radzić się będą. Dodać nadto trzeba, że jakkolwiek w malowaniu obrazów historycznych miał on rękę nieco ciężką, nie był jego pędzel pozbawiony wdzięku, energii i barwistości, tak, że jego dzieła i rozprawy mogą być czytane przez ogół.

Wie każdy, kto osobiście znał zmarłego, jakie on rzewne posiadał serce, z którego gorące uczucia płynęły nieprzerwanym potokiem. Wylew ten ujmujący stanowił szczególną niespodziankę w badaczu chłodnym i trzeźwym, a był szczerym. Tą stroną swego charakteru Jarochowski przypominał naturę szlachcica polskiego, która nawet odbijała się w jego względzie zewnętrznym. I umarł na to serce, które tak promieniowało. Ziemia go utuli w swem łonie, bo ją kochał jak matkę.

S.

OSIP HORDYŃSKI-FED'KOWICZ.

(Wspomnienie pośmiertne).

Dnia 11 stycznia czyli 30 grudnia zmarł w Czerniowcach na Bukowinie najwybitniejszy ze współczesnych poetów rusińskich, Józef Hordyński, powszechnie znany pod nazwiskiem Fed'kowicza. Imię jego nieobcem jest i dla polskiej publiczności, gdyż większa część jego prześlicznych nowelek z życia huculskiego przetłomaczoną była na język polski. Przełożono też niektóre z jego poezyj, chociaż stosunkowo bardzo niewiele. Utwory jego tłomaczone również były na języki: ruski, serbski, czeski i niemiecki. Latem 1886 r. obchodził on w gronie przyjaciół i wielbicieli jego talentu 25-letni jubileusz swej działalności literackiej w Czerniowcach. Przy tej okoliczności liczne pisma polskie (czerniowska *Gazeta polska*, krakowska *Nowa reforma* i inne) podały szkice biograficzne poety, a na ich podstawie napisał też p. Kordlec, czech, dość dokładną i sympatyczną biografię Fed'kowicza dla *Słowanskiego sbornika*, wydawanego przez p. Jelinka w Pradze.

Niezwykłem, jak talent, było i życie zmarłego, które sam on lubiał otaczać pewną mgłą tajemniczości, a przynajmniej nie lubiał mówić całej prawdy. Urodził się w r. 1834 na Bukowinie w wiosce Storoniec. Matka jego (Hanicka) pochodziła z rodziny prawosławnych księży bukowińskich. Pierwszym jej mężem był Mikołaj Daszkiewicz, ksiądz prawosławny, który po dwóch latach umarł. Wtedy poślubiła Hordyńskiego, mandataryusza putyłowskiego, spolaczonego rusina, rodem z Galicyi. Miała z nim pięcioro dzieci, w których rzędzie poeta nasz był drugim. Ojciec po kilku latach porzucił rodzinę, pozostawiającą w Putyłowie w wielkiej nędzy. Trzy młodsze siostry umarły; starszy brat emigrował do Jass, gdzie został litografem, dorobił się znacznego majątku i wyrzekł się swej narodowości i swego nazwiska, przemieniwszy je na Grigori Agapi. Mając lat 14 i nie ukończywszy nawet szkoły wiejskiej, poeta nasz udał się również do Jass dla ukształcenia się w litografii, lecz nie mając dostatecznej siły do takiej pracy, przyjął służbę u bogatej bojarki Brankowanicy. Po czterech latach, w sierpniu 1852 r., wzięto go do wojska. Tutaj dopiero, w „Kompagnie-Schule“ zaczął się uczyć po niemiecku, po francusku, po polsku, zaczął czytać książki. W r. 1859 został oficerem. Brał udział w bitwie pod Castenodeglio. Z wojska wystąpił w r. 1863, zmuszony do tego chorobą oczu, a jak się zdaje, także jakiemś nieprzyjemnem zajściem z władzami. Otrzymawszy maleńką pensyę, osiadł w swej rodzinnej wsi Storońcu. W r. 1864 wybrały go gminy huculskie na swego przedstawiciela do komisyi serwitutowej, w r. 1866 gmina storoniecka mianowała go swym wójtem, zaś w r. 1867 został okręgowym inspektorem szkół ludowych. Na tem stanowisku przebył kilka lat, rozwijając nader żywą działalność, dbając o szkoły ludowe i język rusiński. W tej sprawie wysłał był nawet memoryał do ówczesnego ministeryum oświaty. Lecz wskutek jakichś intryg złożył ten urząd w r. 1871, zaś w r. 1872 przeniósł się do Lwowa, zamierzając oddać się pracy literackiej. Zamiar ten spełzł na niczem i bardzo rozczarował poetę, Po 14 miesiącach opuścił Lwów i osiadł stale w Czerniowcach, gdzie też pozostawał jego ojciec w służbie rządowej. Ojciec jednak zupełnie się do niego nie przyznawał; dopiero gdy umarł w r. 1876, pozostawił poecie piękny dom w Czerniowcach. Fed'kowicz dom ten sprzedał i pieniądze rozdał między swych znajomych huculów „na wieczne oddanie,“ sam zaś żył samotnie i nader ubogo w maleńkim najętym domku na jednem z przedmieść czerniowieckich. Dopiero w ostatnich kilku latach, pod wpływem rozbudzonego ducha narodowego na Bukowinie odżył Fed'kowicz, a objąwszy redakcyę gazetki ludowej *Bukowyna*, umieszczał w niej i w innych wydawnictwach ostatnie swe utwory.

Pracę literacką w języku rusińskim rozpoczął Fed'kowicz jeszcze w r. 1859 w Czerniowcach, gdzie po powrocie z Włoch poznajomił się był z profesorem Neubauerem, wielkim znawcą i miłośnikiem literatury niemieckiej, a także z rusinem Antonim Kobylańskim, wielkim oryginałem, lecz gorącym zwolennikiem kierunku narodowego w literaturze. Tenże Kobylański wydał w r. 1860 pierwsze utwory Fed'kowicza — parę udatnych wierszyków jako dodatek do swej broszury polemicznej „Slovo na slovo do redaktora *Slova*.“ Wierszyki te odrazu zwróciły na Fed'kowicza uwagę publiczności galicyjskiej i w roku następnym ówczesny redaktor *Słowa*, B. Didyckij, wydał cały tomik jego poezyj we Lwowie z wielce sympatyczną ze swej strony przedmową, w której porównywał młodego śpiewaka bukowińskiego z Uhlandem i Wincentym Polem.

Czas od 1861 do 1870 r., to epoka rozkwitu poetycznej działalności talentu Fed'kowicza. W tym czasie powstały wszystkie jego prześliczne nowele, drukowane w czasopismach *Weczernyci* (1862—63), *Meta* (1863—65) i *Niwa* (1865), dalszy szereg wierszy w tychże czasopismach i *Prawdzie* (1867—75), a wreszcie szereg poematów i balad w trzech tomikach (Kołomyja 1867—1868). Z tego też czasu pochodzą liczne jego prace, dotychczas jeszcze nieogłoszone, jak poematy „Nowobranczyk“ i „Łukjan Kobyłycia,“ dalej ogromny dramat „Dowbusz,“ którego dwa pierwsze akty drukowane były w *Prawdzie* 1869 r. Dla szkół ludowych ułożył on w tym czasie prześliczny elementarz, który podany do oceny galicyjskiej szkolnej radzie krajowej, przepadł gdzieś w jej biurach, oraz wydany

w Wiedniu „Spiwannyk“ tj. zbiór dziecięcych pieśni z nutami. Przeniósłszy się do Lwowa, objął kierownictwo książeczek popularnych w towarzystwie „Proświta,“ lecz prócz ładnej przeróbki noweli Zshokkego „Das Goldmacherdorf,“ wydanej pod tytułem „Seło Farmazony,“ nic godnego uwagi nie napisał. Dla towarzystwa „Ruska Besida,“ zajmującego się teatrem, przełożył „Hamleta“ Shakespeare'a i przerobił „Poskromienie złośnicy“ na farsę huculską, później zaś przerobił dramat swój „Dowbusz“ odpowiednio do wymagań sceny. W r. 1876 zaczęła *Prawda* drukować nowy zbiór jego poezyj p. t. „Dyki dumy.“ Od roku 1880 Fed'kowicz napisał cały szereg dramatów, jak „Kermanycz,“ „Strilanyj chrest,“ „Mazepa“ i wreszcie „Bohdan Chmielnicki,“ nad którym go śmierć zaskoczyła. Żaden z tych dramatów dotychczas nie był drukowany, nie wiemy nawet. czy i o ile one są wykończone. Natomiast w *Bukowynie*, w *Bibliotece dla młodzieży* i innych wydawnictwach czerniowieckich ogłosił Fed'kowicz w ostatnich latach cały szereg powiastek, bajeczek i wierszyków.

Prostota w pomysłach i wykonaniu, piękny język, wielka szczerość i serdeczność tonu z maleńką domieszką typowej huculskiej mistyczności — oto charakterystyczne cechy utworów Fed'kowicza, osobliwie zaś jego powiastek, poezyj lirycznych i niektórych poematów z życia żołnierskiego. Dramaty, mimo wielu zalet w szczegółach, stoją daleko niżej. Zresztą ostateczna ocena poetyckiej działalności Fed'kowicza możliwą będzie wtenczas dopiero, gdy zostanie wydany komplet jego utworów, z których obecnie zaledwie połowa jest ogłoszona. Wydaniem tem, które obejmować będzie 6 tomów, zajmuje się z polecenia czerniowieckiej „Ruskiej Besidy“ dr. Stefan Smal-Stockij, profesor uniwersytetu czerniowieckiego.

Iwan Franko.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wrażenie z okładki i dreszcz we wstępie. — *Badania historyozoficzne* p. Chrzanowskiego.—Jego prawa rozwoju ludzkości. — Trzy barwy idei. — Co jest większym smutkiem. — Milczenie rozumu i głosy maligny.— Salwy na cześć p. Noskowskiego. — Huśtawka naszej krytyki i jej cztery działania arytmetyczne. — *Pan Tadeusz* w taniem wydaniu. — Rady Prószyńskiego dla ludu o kredycie. — Nowa tradycya.

A komu by z was, czytelnicy, nie sprawił przyjemności widok książki oryginalnie po polsku napisanej p. t. „*Badania z historyozofii* — część I: prawo rządzące dziejami ludzkości!“ I ja też skorzystałem z pierwszej chwili swobodniejszej, ażeby to dzieło poznać. Czytam naprzód „wstęp.“ Zaraz po pierwszej stronicy uczuwam jakiś dziwny dreszcz. Autor twierdzi, że „człowiek nie może działać, przynajmniej działać skutecznie (?), będąc w sprzeczności z prawami świata duchowego i fizycznego, nie może myśleć, jak chce,“ a pomimo to posiada... wolną wolę. Prawa te bowiem (fizyczne i duchowe) istnieją „obok woli człowieka,“ jako wskazówki i siły opiekuńcze.“ Kiedyś od kolegi chorego na tyfus i mocno gorączkującego słyszałem wywód podobny; ale nie trzeba się uprzedzać. Idźmy dalej za p. Chrzanowskim. Nie wszystkie społeczeństwa „w jednakowym stopniu wykonywają te prawa“—głównie odznaczyły się na tem polu: państwo rzymskie i Francya—w ich więc historyi autor bada dzieje... ludzkości. Jakich uczuć doznałem, pogrążywszy się z nim w otchłań tych „badań,“ chyba z Pielgrzymem Mickiewicza „opowiem po śmierci, bo w żyjących języku nie ma na to głosu.“ Jednak spróbuję.

W 25 wiekowym pochodzie ludzkość przeszła cztery epoki: rzymską, feudalną, religijną i państwową. Społeczeństwo rzymskie było bardzo paskudne: tak np. „duchowe ideały, pojęcia o godności i prawach człowieka wcale tam nie istniały:“ „ani filozofia prawdziwa, ani prawdziwa religia zjawić się nie mogły.“ Nic też dziwnego, że to brzydactwo zginęło — skutkiem wielu przyczyn, a między innemi przez... oświatę bezpłatną. „Krzewienie nauk bezpłatne (!), tj. kosztem państwa, podkopywało interesy ogółu i oswajało mniejszość z możnością korzystania bezprawnie z pracy i funduszów ogółu. Krzewienie nauk bezpłatne przynosiło zatem państwu wielką krzywdę,“ a jednostkom niezamożnym szkodę w walce o byt. Ale skończyła się wreszcie ta epoka r. 410 (ściśle) i nastąpiła inna — feudalna, która wcieliła „ideę osobistej swobody człowieka.“ Rozwinęła ona indywidualizm i moralne przymioty ludzi. „U greków i rzymian miłość uważaną była jako nikczemność, przekleństwo,“ teraz uzyskała ona prawo obywatelstwa. Okres ten trwał punkt do r. 1033. Trzeci, religijny — do 1463. Epoka czwarta jest państwową, a różni się od państwowej rzymskiej tem, że jej idea „musiała przemawiać do ludzi nieco innym językiem, wyrażać się w kształtach obszerniejszych, rozmaitszych, powabniejszych.“ Objawami jej dodatnimi i ujemnymi są: handel, przemysł, rolnictwo, kredyt, banki, honor, pojedynki, równowaga państw itd. Samym domysłem czytelnik nie odgadnie, które z tych czynników działały dobroczynnie, a które szkodliwie. Tak np. autor „dochodzi do przekonania, że jednym ze znaczniejszych objawów upadającego państwa jest rozwój kredytu i banków.“

Chociaż w historycznym ciągu mamy cztery epoki, tkwią w nich tylko trzy ideje (bo pierwsza z czwartą posiadają mianownik wspólny): indywidualistyczna, duchowa i państwowa. Cofając się wstecz po za grunt dziejowy, odnajdujemy tę trójcę w stałej kolei, mianowicie: epokę rzymską (państwową) poprzedziła religijna, tę znowu — indywidualistyczna, w raju, tę—państwowa, podczas stworzenia świata. Autor idzie nawet po za stworzenie świata i tam wykazuje troistość idei. „Ten kolejny, stały porządek — mówi on — w jakim się zjawiały ideje, stanowi właściwość prawa historycznego, którą zowiemy prawem następstwa idej.“ Wyliczywszy dokładnie, za pomocą „logarytmiki,“ ile czasu (w ułamkach) rządziła każda z tych „pań,“ p. Ch. otrzymuje wniosek, że epoki, powtarzając się ciągle w swojem następstwie, trwają coraz krócej i że „idea upada *dwa* razy prędzej, niż się wznosi.“ Za X. lat tedy może jakaś epoka trwać godzinę lub minutę a idea w niej wzniesie się i upadnie z szybkością kuli, wystrzelonej w górę. Autor podaje formułę matematyczną, która pozwala wyrachować objętość każdej epoki przyszłej. I tak idąca po czwartej (nowopaństwowej), która się skończyła r. 1793, zawrze $267\ {}^{7}/_{10}$ lat, następna — $225\ {}^{28}/_{100}$ itd. Dla uzmysłowienia rozwoju dotychczasowego, nakreślił i wykolorował dwie mapy: w jednej przedstawił szereg zmniejszających się czworoboków, z których niebieski wyobraża ideę państwową, czerwony — indywidualistyczną, żółty — duchową (religijną); w drugiej zaś— w czworobokach barw mieszanych okazał, jak „panie“ sąsiadujące wzajemnie zachodzą na siebie.

Jak p. Chrzanowski z tego wywodu przeszedł do „absolutnego prawa swobody“ i „kodeksu praw bożych“ — nie będę opowiadał czytelnikowi, bo naprzód jestem tą destylacyą jego maligny historyozoficznej zbyt zmęczony a powtóre — treść przywiedziona wystarczy dla scharakteryzowania tych „badań.“ Dodam tylko, że oprócz własnych natchnień czerpał autor swą mądrość z trzech książek: Schlossera, Cantu i Guizota, że od nich dowiedział się o istnieniu ludzi i rzeczy nigdy nieistniejących (np. o cesarzu Tybercyuszu), że pisze: „przedstawuje“ itp.

Niech tę „historyozofię“ rozbiera i ocenia Lombroso, do mnie ona nie należy. Ja tylko chciałem za pomocą niej stwierdzić fakt znamienny w naszem piśmiennictwie — objaw myśli nieprawidłowej. Nie to jest najsmutniejszem, że oryginalne dzieła naukowe do literatury naszej przybywają rzadko, ale to, że dziwolągi przybywają coraz częściej. Mamy już długi szereg wielostronicowych majaczeń, partactw i pomysłów maniackich. Praca p. Chrzanowskiego, obszerna i wydana z dużym nakładem, wzbogaca hojnie ten skarbiec *curios'ów*. Tego rodzaju płody wyrastają wszędzie, same przez się więc nie stanowią zjawiska nadzwyczajnego. Ale jeśli zważymy, że w pewnych dziedzinach wiedzy (zwłaszcza w filozofii) książki takie są jedynym naszym dorobkiem umysłowym — ogarnia nas przerażenie. Od pewnego czasu każda nowa praca oryginalna z zakresu filozofii wprost przejmuje mnie strachem, bo w każdej domyślam się wykładu maligny. Drwić z „badań“ p. Chrzanowskiego łatwo; ja nie mam do tego ani chęci, ani humoru. Żal mi bowiem autora, który zmarnował pracę i środki, żal mi literatury, która takie dziwolągi zbiera jako jedyny rodzimy plon naukowy.

To stosunkowo nadmierne wyładowywanie się pomysłów dziwolężnych jest przynajmniej w pewnym stopniu wynikiem bezrobocia sił zdrowych. Na ugorach najbujniej wyrastają chwasty. Dzieła z obcych języków tłomaczone zaspakajają naukowy głód ogółu, ale nie zniechęcają do pracy głów roztrojonych i fantastycznych, które czują potrzebę pracy swojskiej. Głowy te widzą i słyszą, że w jakiejś sprawie odzywają się niemcy, anglicy, francuzi, włosi, szwedzi — tylko polacy milczą i prowadzą protokóły z cudzych zeznań. Więc ten i ów maniak, któremu niewiadomość nie sprowadza kłopotu a cisza w literaturze dodaje odwagi, wychodzi na rynek publiczny i wytrząsa swój biedny mózg z majaczeń i snów poplątanych. A czasem zdarza się, że taki apostoł dostaje poklask od reportera, pełniącego obowiązki krytyka.

W prasie naszej rozległ się ogłuszający huk salw po koncercie p. Noskowskiego, który przedstawił swoją „Świteziankę.“ Jeden ze sprawozdawców zastanawia się nad pytaniem: czy p. N. jest geniuszem, czy talentem i odpowiada „wymijająco,“ godząc swoje wątpliwości w takiem klasycznem określeniu: „niepospolity talent refleksyjny (?) o błyskach genialnych“, przed którym jeszcze nie potrzeba, jak przed Chopinem, zdejmować kapelusza, ale już uchylić go należy. Drugi nazywa kompozytora „mistrzem pierwszorzędnym,“ trzeci pali mu w kadzielnicy inne listki z drzewa nieśmiertelności, niektórzy tylko objawiają pewien chłód w uznaniu. Wszystko to razem nie przeszkadza, ażeby p. Noskowski za pół roku był muzykiem średniej miary, a jego „Świtezianka“ utworem, posiadającym wiele nauki, a mało natchnienia. Czemu? Bo to nasz zwyczaj. Krytyka nasza jest huśtawką, na której ludzie publiczni ciągle wzlatują do góry i spadają na dół. Rozdaje ona nominacye na geniuszów i dymisye z tego urzędu tak szybko, jak Penelopa, prująca w nocy to, co zrobiła w dzień. Czy pamiętacie, jakie to szły telegramy i sprawozdania po przedstawieniu *Konrada Walenroda* Żeleńskiego we Lwowie? Przez kilka tygodni poprostu niepodobna było ani na chwilę włożyć kapelusza z czci dla tego arcydzieła. A dziś? O *Walenrodzie* cicho, nawet w Towarzystwie muzycznem, które przecie powinno było poznajomić nas z nim bodaj częściowo. Krytyka nasza, zwłaszcza wobec kompozytorów, odrabia stale cztery działania arytmetyczne: naprzód ich sławę dodaje lub mnoży, a potem odejmuje lub dzieli.

„Świtezianka“ ulega obecnie dwu pierwszym, czy nie ulegnie i ostatnim? Nie życzę jej przesady ani w pochwałach, ani w naganach, lecz takiej chwały, na jaką zasłużyła.

Na stół wielkanocny dwaj nakładcy przygotowali bardzo piękne podarki dla ludu. W taniej, dziesięciogroszowej książeczce wyszedł *Pan Tadeusz* Mickiewicza (z portretem). Naturalnie jest to wydanie skrócone (121 str.), ale nie na tyle, ażeby czytelnika pozbawiało ciągłości wątku i uroków tego cudownego poematu. Niższe warstwy naszego społeczeństwa poznają go nieco później niż Anglia, która przed paru laty zyskała lichy przekład, ale poznają go lepiej. Przeglądałem znowu ten najpiękniejszy kwiat naszej literatury z pamięcią na jego nieoświeconych czytelników i zapytywałem siebie, czy go zrozumią, odczują? Niewątpliwie. Geniusz Mickiewicza posiada w swej naturze zadziwiającą prostotę, która podnosi jego miarę, bo pozwala mu rozpostrzeć swoje promienie bardzo szeroko. Shelley pozostanie wiecznie nieznanym ludowi, autor *Pana Tadeusza* słusznie pragnął „dożyć tej pociechy, żeby te księgi zbłądziły pod strzechy.“

Najbardziej zasłużony w współczesnej literaturze ludowej K. Prószyński, wydał broszurę „O pożyczkach i kasach pożyczkowych po wsiach i miastach“ z dodaniem objaśnień o Towarzystwie kredyt. ziemsk., listach zastawnych itd. Promyk jest serdecznym przyjacielem ludu i zwykle dobrym jego doradcą. W obecnej książeczce daje mu on wskazówki umiejętnego korzystania z kredytu i wytwarzania jego podstaw. Do zwyczaju dzielenia się jajkiem dodajcie zwyczaj rozdawania tych książeczek zacną myślą poświęconych, a wytworzycie tradycyę, która odda społeczeństwu większe usługi, niż ta, która gromadzi na stołach mięsa. Ta obciąża tylko żołądki, tamta rozwidnia głowy.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Co się u nas skleja, a co rozkleja? — Dwojakie podmuchy. — Spółki: złodziejska i furmańska. — Towarzystwo gorzelnicze w przyszłości. — Rozwój księgarni łęczyckiej. — Dlaczego w innych miastach tak nie jest? — Jeszcze spółka owocarska. — Kobiety przedsiębiorcze. — Bogacz i nędzarz. — Plaster na kolki ekonomiczne.

Powiadają, że u nas żadne stowarzyszeszenie nie może się zlepić, a jeśli się zlepi, prędko się rozkleì pod wpływem podmuchów wilgotnych. Ja temu nie wierzę. Zioną na nas dwojakie wiatry: wilgotne i suche, z tą różnicą, że drugie pracują tam, gdzieby powinny pierwsze działać i odwrotnie. Taki porządek rzeczy robi to, że np. w Hrubieszowskiem rozsypują się długoletnie piękne spółki, a na ich miejsce powstają nowe... wcale niepiękne. Do tych należy stowarzyszenie furmanów i... złodziei. Fakty dosadnie ich czynność i energię przedstawią. Syn jednego z zamożnych żydów hrubieszowskich poszedł w futrze do szkoły dla odmówienia zwykłych modlitw przed zakończeniem szabasu. Było tam duszno, a więc młodzieniec zdjął futro i położył obok siebie. Jakież było jego zdumienie, a jeszcze większy żal, gdy po skończonem nabożeństwie nie znalazł okrycia. Musiał wracać do domu jak stał. Ojciec dowiedziawszy się o wypadku, natychmiast wyszedł na miasto w nadziei spotkania kogoś z tych, co razem w szkole byli i dowiedzenia się o stracie. Jakoż zaczepił znajomego. Ten mu wskazał osobistość, od której pewniejszych wiadomości można zasięgnąć. Poszedł tam z zapytaniem: „czy wy nie wiecie, kto skradł futro mojemu synowi? — Ojoj! czemu nie! Ja wam powiem, ale słuchajcie: futro kosztowało was 40 rs., otóż jeśli mi dacie 20, to będziecie je mieli. Ostrzegam wszakże, że gdy zechcecie zrobić z tego użytek, to czeka was straszna zemsta.“ Nie pozostawało nic, jak tylko się targować. Stanęło na tem, że poszkodowany w nocy o godzinie 1-ej wyśle od siebie żydka z 15 rs. na wskazane miejsce. Gdy wysłaniec przybył, zbliżyła się doń jakaś postać w burce z nasuniętym na głowę kapturem i zakrytą twarzą: Masz pieniądze? — Mam? — A ile? Dwanaście rubli. — No to nie będziesz miał futra—rzekł zakapturzony i zawrócił się.— Masz piętnaście! Dawaj futro. Śliczny obrazek, pełen tajemniczości.

Drugi pomysł — spółka furmanów. Ma ona swój regulamin: nikomu z podróżnych, nieposiadających własnych koni, nie wolno inaczej jeździć do Chełma lub Hrubieszowa, jak tylko z nami. Gdyby zaś kto znalazł inny, tańszy sposób, starać się przeszkodzić mu, nie przebierając w środkach, a jeżeli się nie uda, przy zdarzonej sposobności zedrzeć zeń podwójnie. Jakoż w czynie trzymają się ściśle przepisów. Niemniej dowcipna jest spółka złodziejska w Słuckiem (gub. mińska). Mają stacye w karczmach, gdzie potworzyli podziemia, w których ukrywają konie skradzione.

W pow. wilejskim bieda i bezustanne kłopoty ekonomiczne, ciągłe straty w gorzelnictwie skłoniły miejscowych obywateli do zawiązania spółki gorzelniczej. Lecz tu już w zarodku uczuwa się jakąś wilgoć złowrogą. Pierwszy zjazd odbył się w zeszłym miesiącu. Z liczby 22 gorzelni przyjęło udział 15 ich właścicieli. Z siedmiu pozostałych niektórzy *obiecali* połączyć się *w przyszłości*, inni—usunęli się *całkowicie*. Z przybyłych na zjazd jeden już w ostatniej chwili cofnął się przerażony *czemś*. To *coś*, wieczna zmora, straszy nas i gotowiśmy wieki przestać w postawie obronnej przed niem, jak ów trój-żyd przez całą noc z jarmułką w jednej, a czapką w drugiej ręce przed pniem spokojnym. Otóż ten pień musi być w wielkich rozmiarach przed oczami stowarzyszonych. Czy z nich połowa jeszcze się nie przestraszy, zanim świt pożytku z połączonych sił straszydła nie spłoszy? Projekt w zarysach niezłe się przedstawia: ma na celu podniesienie upadającego ze szkodą gospodarstw gorzelnictwa: przez wywożenie pewnej ilości spirytusu za granicę gubernii lub kraju. Utworzenie syndykatu, którego obowiązkiem byłoby ułatwianie zbytu tego produktu w najdogodniejszych dla wytwórców warunkach i — podniesienie cen do kosztów produkcyi, tudzież zrównanie ich we wszystkich gorzelniach. Ale należałoby się też pomyśleć jednocześnie o ulepszeniach, gdyż dziś w całym powiecie zaledwie trzy gorzelnie posługują się machiną parową z zastosowaniem nowych prawideł i wymagań techniki. Wszystkie inne poprzestają na prostych prastarych urządzeniach, z małemi gdzieniegdzie ulepszeniami. Nowo zawiązujące się towarzystwo ma zamiar przyłączyć się do warszawskiego lub utworzyć związek samodzielny. Dotychczas zrobiono tyle: wybrano czterech ziemian dla utworzenia syndykatu, na który włożono tymczasowo obowiązek porozumienia się z Tow. warszawskiem, zbadania warunków handlu wywozowego oraz innych dróg zbytu spirytusu.

Jakiś klej mocny, niewrażliwy na wilgoć, połączył panie Korejwo i Kowalską w Łęczycy. Zdaje mi się, już dwa razy wspominałem o ich księgarni. Teraz doszły mię wieści jeszcze pomyślniejsze. „Aż dusza rośnie — woła korespondent *Kaliszanina* — gdy patrzysz na nieustanny postęp ku lepszemu, gdy słyszysz, iż lokal jest za mały wobec powiększania się czytelni i wyboru książek komisowych. Księgarnia pań łęczyckich jest żywym, bijącym w oczy przykładem, że i na prowincyi przy dobrej woli, z zasobem inteligencyi, znajomości rzeczy i pewnym kapitałem (tylko tyle!) można wiele zrobić.“ Czego dowodzi powodzenie księgarni łęczyckiej? — Że „jest komu czytać, jest komu prenumerować pisma, książki, trzeba tylko dać *impuls* i nie ustawać w rozpoczętem dziele“ (znów tylko tyle!). Jakże w innych miastach są prowadzone księgarnie? Oto biorą się osoby mało lub zupełnie nieobeznane z fachem, spychające sprawy czytelnictwa i literatury na plan podrzędny, troskliwie ukrywające książki po za paczkami herbaty, stosami zabawek dziecinnych, wyrobów tytuniowych lub galanteryjnych, nakładające na książki i pisma ceny niemożliwie wysokie, abonenci zaś odbierają je w kilka tygodni po wyjściu z pod prasy lub po zamówieniu. Nie dziw, że takie przedsiębiorstwa prędko upadają.

Jeszcze jedna spółka — *owocarska*. Już się zawiązała i rozpocznie żyć podobno od kwietnia r. b. Zadaniem jej będzie kupować z pierwszej ręki na dalszą wyprzedaż owoce krajowe. Z tego powodu *Korespondent płocki* biada nad losem ogrodów prywatnych. Dotąd oddawane są one zwykle w dzierżawę żydom. Ci od chwili zapłacenia renty z góry lub danej zaliczki, sprowadzają się tam na letnie mieszkanie z rodziną, urządzają kuchnię, do której nie żałują paliwa z suszu i niesuszu ogrodowego. Czasem dla wygody biorą krowę na paśnik. Właściciel jak nigdy nie pisze, co na ogród wydaje, tak ledwie przeliczy, co zań bierze. Gorzej bywa; nie wie, ile ma sztuk rodzajnych w sadzie, ile z nich zimowych, jesiennych albo letnich. Nie zna nawet wszystkich nazw. Za to dzierżawca, samouk praktyczny, prawie zawsze potrafi dobry interes zrobić. Dlaczego właściciele ogrodów trzymają się upornie takiej rutyny? Organ płocki odpowiada na to: dlatego, „że 1) ugodzona sumę natychmiast z góry odbierają, 2) że oddając ogród w dzierżawę, zabezpieczają go od szkód nietylko przez obcych, lecz i przez własnych domowników, 3) że odsuwają od siebie dalsze kłopoty i koszty na pilnowanie, obrywanie owoców, pakowanie ich i dostawę.“ Czyli dają folgę swej naturze leniwej, wolą poprzestać na małem, byle bez kłopotu. Tutaj spółka owocowa powinna szkapę lenistwa pchać kijem przymuszenia—jak się wyraził jeden z romantyków naszych. Będzie miała ona szerokie pole do działania, jeśli starczy jej na to środków i... wytrwałości.

Ktoś z pow. mławskiego uskarża się, że „obywatelki“ zapominają, iż mogą w znacznym stopniu dopomagać mężom, rozwijając swe drobne gospodarstwo. Zachętą powinno być grono kobiet, które umieściwszy w Warszawie swą przedstawicielkę, wysyła tam produkty wiejskie furmanką. Interes dobrze idzie. Przewodniczka sprzedając rzeczy nadsyłane, daje jednocześnie wskazówki, w jakim kierunku należy rozwijać gospodarstwo kobiece. Podobno po odtrąceniu kosztu przesyłki i najmu mieszkania, czysty zysk wynosi kilkanaście tęczówek rocznie.

Śród Izraela zjawiły się dwie postacie biblijne: *Łazarz i bogacz*. W Kleczewie (w Konińskiem) zmarł przed kilku tygodniami starozakonny, nazwiskiem Bosak, zostawiwszy majątek około 300,000 rs. Zaczął on swoją karyerę od parobka do koni. Następnie handlując zbożem, dorabiał się grosza. W końcu został najbogatszym kupcem w okolicy, wyposażył dzieci, a sam zajmował się obok handlu wypożyczaniem pieniędzy na dobry procent. Brat, nędzarz, chodzący po żebraninie, zgłaszał się doń czasem po wsparcie i dostawał... kika groszy. Przyszedł czas wydania posażnej córki za mąż. Bosak wyprawił jej sute wesele, zaprosił nawet *dystyngowanych* gości. Jakoż zajechała kareta. Bogacz uradowany wybiegł na powitanie dostojnego gościa. Lecz drzwi powozu otwierają się i wysiada... brat nędzarz. Był to figiel jednego z obywateli okolicznych. Bosak wyśmiany musiał aż kilka rubli dać niepożądanemu gościowi.

Przyjemny to humor złośliwy szlachcica pośród ciągłego uskarżania się na kolki ekonomiczne. Jeden z obywateli radzi na tę dolegliwość plaster własnego wynalazku i to na dobie, w chwili, gdy przy ministeryum spraw wewnętrznych utworzono komisyę, mającą zbadać przyczyny upadku rolnictwa i obmyśleć środki zaradcze. Oto recepta szlachecka dla Królestwa Polskiego: 1) umorzenie lub rozłożenie na dłuższe lata przez Towarzystwo kredytowe ziemskie przynajmniej trzyletnich rat należnych od stowarzyszonych; 2) pewne możliwe ulgi ze strony instytucyj kredytowych dla dłużników, począwszy od Banku państwa, jako to: zaniechanie w tak krytycznym czasie ściągania od nich należności i poprzestanie na procencie przy odnawianiu weksłów; 3) Bank włościański ze znacznymi funduszami; 4) szkoły rolniczo - rzemieślnicze, w którychby się włościanie obok gospodarstwa uczyli rzemiosł, bez czego drobny przemysł domowy należycie rozwinąć się nie może (mamy wiele zabudowań poklasztornych, grożących ruiną; nadałyby się na ten cel); 5) Bank ratunkowy w celu splacenia długów hipotecznych, obciążających majątki ziemskie bez względu na ich wielkość, zatem i włościańskie. Nie wiem, w jakim wieku jest doradca tych środków, a więc nie mogę wnosić, czy się doczeka urzeczywistnienia swego projektu, a tembardziej — jego skutków...

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wylewy rzek czynią straszne spustoszenia. Poznań, Gdańsk, Elbląg, Malborg z okolicami zatopione i zniszczone.

„Wisła." pismo poświęcone etnologii krajowej, pod nową redakcyą wydała zeszyt 1, który przedstawia się okazale w formie i bogato w treści. Zapowiada się w niej poważny i pożyteczny organ naukowy.

W sprawie pomnika dla Mickiewicza „komitet ściśły" d. 25 b. m. uchwalił:

1) Zastrzegając sobie najzupełniejszą wolność dalszego działania, przystąpić na podstawie modelu nr. 19 utworu pana T. Rygiera do wykonania pomnika.

Polecono p. Rygierowi wykonanie modelu w ⅓ wielkości wymiarów projektowanych z takiemi zmianami, jakie komisya uproszona wskaże.

2) Model, wykonany w Krakowie pod okiem komisyi uproszonej, składający się z panów: Matejki, Przezdzieckiego, Zacharyewicza i dr Sokołowskiego, przyjmuje i aprobuje (?) ściślejszy komitet, decydując o dalszem postępowaniu (?).

3) Mając na względzie, że naród z własnej woli i chęci i własnemi siłami stawia pomnik Mickiewiczowi, ściślejszy komitet starać się będzie o zbadanie warunków wykonania pomnika w kraju.

4) Miejsce uchwalone przez ściślejszy komitet na postawienie pomnika ogłosi się później.

Artur Potocki, Jan Matejko, Konstanty Przezdziecki, Zacharyewicz, W. L. Jaworski.

Cło. Komisya przy departamencie dochodów niestałych, między innemi opłatami od produktów ruskich, zaprojektowała obłożenie platyny opłatą 15 rubli w złocie od funta.

Konsulat królewsko hiszpański w Warszawie zawiadamia, iż rząd ruski zamianował p. Roberta Orbińskiego generalnym delegatem wystawy powszechnej w Barcelonie, dokąd wystawcy powinni się zgłaszać.

Z Torunia dochodzą wieści (24 b. m.), iż wskutek zawiei śnieżnych zamknięto linie kolejowe Grudziądz-Marienburg, Garnsee-Leśno i Jabłonowo-Soldau.

Wydział prasy udzielił pozwolenia p. Józefowi Stefanowiczowi, referentowi wydziału taryfowego kolei Warsz.-Wiedeńskiej i Bydgoskiej na wydawanie w Warszawie tygodnika specyalnego p. t. *Wiadomości kolejowe.*

Kary. Za nieposyłanie terminatorów do szkoły p. prezydent m. Warszawy skazał 400 majstrów na zapłacenie po 74 kop. kary.

Testament zmarłego przed dwoma laty w Nowogródku dr. Orzechowskiego zatwierdzono. Zawiera on przekaz Tow. dobroczynności w Warszawie 156,000 rs. na różne cele filantropijne. Legat starali się obalić krewni nieboszczyka, lecz Izba sądowa w Warszawie obaliła ich akcyę.

Ofiara. Ks. biskup Kaliński w Kielcach przeznaczył 5,700 rs. na rzecz pomnożenia funduszów miejscowego Tow. dobroczynności.

Opłaty stemplowe. W ministeryum skarbu — jak donoszą *Nowosti* — poruszono sprawę obowiązkowych opłat stemplowych za wypisy główne opłat rejentalnych. Minister uznał za konieczne wydanie dopełniającego przepisu w drodze prawodawczej, aby natychmiast po sporządzeniu aktu wydawany był wypis główny z proporcyonalną opłatą stemplową. W celu zaś ułatwienia władzom kontrolującym sprawdzenia, czy wypis aktu rzeczywiście wydany i odpowiednio opłacony, p. minister radzi, aby papier stemplowy zachowywany był u rejenta, a stronom wydawano wypisy na zwyczajnym papierze z adnotacya, że stempel opłacony. Zmiana ta miałaby zastosowanie i względem aktów sporządzanych w kancelaryach hypotecznych w Królestwie Polskiem. Minister sprawiedliwości podzielając w zasadzie pogląd powyższy, nadmienił, że cel wskazany może być najzupełniej osiągnięty, jeżeli strony jednocześnie ze sporządzeniem aktu rejentalnego lub hipotecznego będą zobowiązane do odpowiedniej opłaty stemplowej, bez względu na to, czy odbiorą wypis główny aktu.

Katalog biblioteki J. I. Kraszewskiego wkrótce będzie wydany w Krakowie. P. Franciszek Kraszewski żąda za całą tę spuściznę 12,000 złr., spłacalnych częściowo w razie, gdyby jakaś publiczna instytucya zbioru w całości nabyć nie mogła.

Fortyfikacye. W okolicy Torunia czynione są przygotowania do budowy dwóch nowych fortów. Poznańskie również będą w r. b. wzmocnione. Prezesowie regencyjni wydali rozporządzenie, aby do prac tych używano robotników wyłącznie poddanych niemieckich.

Dyrekcya warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia rozpoczęła wypłatę dywidendy za rok ubiegły po 15 rs. od akcyi, czyli 12%.

Towarzystwo pomocy subjektów handlowych i przemysłowych wykazało za ostatni rok dowód swej ruchliwości i życia. Członków liczy obecnie ogółem 918, tj. o 82 więcej, niż w roku zaprzeszłym. Na ostatniem ogólnem posiedzeniu instytucya ta zdradziła jeszcze jedną cechę—że jej uczestnicy umieją dużo mówić i przeciągać sprawy do nieskończoności. Są między nimi odważni, prawdomówni. Jednego z nich za istotne przedstawienie wartości chóru powitano... gwizdaniem! Inteligentniejsi wpływem swoim powinni usunąć ten dziki zwyczaj. Gorączkę wywołała sprawa emerytury dla stowarzyszonych. Na nacieranie jednego członka projektodawcy, zarząd tłomaczył się nieprzezwyciężonemi trudnościami i tem, że zagranica w takich instytucyach nie posiada jeszcze owej nowości (!). Drugą burzę podniosła kwestya funduszu na pomoc lekarską. Zdania się podzieliły z dziwnem lekceważeniem swobody osobistej: gdy poradzono jednej partyi wstać, drugiej zaś usiąść dla sprawdzenia większości głosów, powitano stojących krzykiem: „siadać!" Są jeszcze zakulisowe nieładne strony knowań. Ci, co najbardziej gardłowali przeciwko niepotrzebnemu wydatkowi na drukowaną listę członków zarządu, sami puścili w kurs po sali kartki drukowane, na których siebie umieścili jako kandydatów zarządu. Pomimo wszakże wielu braków tej instytucyi można jej wróżyć dojrzałość.

Przemysł. Próby wysyłania do Austryi świec stearynowych tutejszego wyrobu powiodły się nadspodziewanie. Jedna z warszawskich fabryk wysłała pierwszy znaczniejszy transport świec do Galicyi, gdzie pomimo cła wytrzymują współzawodnictwo z miejscowemi.

— Na mocy układów rozpoczętych w czasie ostatnich kontraktów kijowskich, kilka tutejszych zakładów fabrycznych otrzymało zamówienia na dostawę maszyn parowych na 200,000 rs.

W Oporto (według depesz z Lizbony) spalił się teatr Baqueta. Zginęło 80 osób. W chwili pożaru mnóstwo osób, które nie zdołały do drzwi dotrzeć, rzuciło się z okien. Wiele udusiło się przy wyjściu. Majtkowie obecni na przedstawieniu, nożami mordowali tłoczących się, torując sobie drogę. Przyczyną katastrofy było niezamknięcie płomieni gazowych na galeryach.

Marki. Dogodne pobieranie opłat skarbowych za pomocą marek, nasunęło myśl zastosowania tego samego systemu do pobierania przez instytucye sądowe opłat sądowych i aktowych w sprawach cywilnych.

Nowe posady. Władze skarbowe dla zapewnienia i przekonania się, czy roboty techniczne, a mianowicie inżenierskie i budowlane wykonywane są odpowiednio i według kosztorysów, ustanowiły posady inżenierów dla kontroli tych robót i dozoru. Urzędnicy ci oprócz pensyi pobierać będą dodatkowe wynagrodzenie z sum przeznaczonych na dozór.

Zabroniono sprzedaży ulicznej *Birżewych Wiedomosti.*

Na powodzian w Węgrzech ofiarował cesarz Franciszek Józef 10,000 złr.

Katastrofy. W Tyrolu południowym między stacyami Atzwang i Blumenau, w chwili, gdy o 3-ej rano przejeżdżał pociąg z Insbruku, oberwała się skała 25 metrów szerokości. Trzydzieści kilka wagonów wraz z maszyną zostało zdruzgotanych. Służba ocalała. Ze wszystkich prawie stron południowego Tyrolu dochodzą smutne wieści o wielkich spustoszeniach, zrządzonych przez lawiny i obrywanie się skał w ciągu ostatnich kilku tygodni. Dziesiątki miejsc uległy częściowemu lub całkowitemu zniszczeniu, a przeszło 70 osób straciło życie.

— Na kolei galicyjsko-węgierskiej między stacyą Mezo Laborez a Radwanami wezbrana rzeka Laborez przerwała groblę, skutkiem czego przemyski pociąg mięszany przy wjeździe na most wykolejł się. Kilka wagonów spadło do rzeki. Maszynista poniósł śmierć na miejscu. Dwóch konduktorów i dwóch palaczów otrzymało ciężkie rany. Wagony osobowe utrzymały się na torze.

— Według nowych wieści orkan śnieżny, który niedawno szalał na całym wschodzie Stanów Zjednoczonych, wyrządził na 20 milionów dolarów szkody. W Indiana zginęło mnóstwo ludzi, nie wskutek zimna, lecz uduszenia. Temperatura tak szybko opadała, że śnieg przemieniał się w kryształy lodowe, a te burza pomiażdżyła na proch drobny, z tego powodu powietrze stało się niemożliwem do oddychania.

Zmarli. Romuald Starkel, we Lwowie. Liczył lat 38. Jeszcze jako student miał wielki wpływ na młodzież uniwersytecką. Założył wtedy wespół z Bronisławem Zawadzkim pismo literackie *Świt.* Później oddał się zawodowi pedagogicznemu. Na tem polu tak się odznaczył, że mu oddano redakcyę pisma specyalnego, *Szkołę.*

— Seweryn Smarzewski, w Wiedniu, jeden z najwybitniejszych członków delegacyi polskiej. Był powagą w sprawach administracyi i finansów nietylko w sejmie galicyjskim, lecz i w austryackiej Radzie państwa. Wybierano go stale na referenta budżetu. Należał do t. z. „dzikich" (gatunek posłów nie należących do żadnego klubu, nie wiążących się żadnym regulaminem, a działających tylko eklektycznie).

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Ś. T. w Kamieńcu Litewskim. Dramat *Ojciec Makary* wyczerpany zupełnie.

P. M. Śław. Dla Was czas znajdziemy.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Łukasz Reutt, Lucyan Rzecznik, Michał Mankielewicz, Wincenty Piskiewicz, Karol Haberbusch, Feliks Schiele, Kazimierz Schiele, Władysław Gostyński, Stanisław Stroński, Józef Kotarbiński, Zygmunt Tykociner, Karol Berent, Maurycy Woyde, Zygmunt Wiesiołowski, Jan Grużewski, Jan Pogroziński, Teodor Chądzyński, Józef Glotz, Antoni Kurman, Ludwik Fryderyk Hildt, Oskar Scheller, Stanisław Grodzki, Samuel Dickstein, Leon Jantzen, Adolf Korsak, Henryk Kiedrzyński, Paweł Mieszkowski, Bolesław Wąsowski, Faustyn Cichalewski, Jan Szymkiewicz, Jan Franciszek Czarnecki, Antoni Urbanowski, Józef Lewin, Maurycy Spokorny, Robert Fiszer, Fryderyk Floryan Müller, Wincenty Borejsza, Tytus Bednarowski, Franciszek Fiszer, August Stopczyk. Raczyli przyjąć obowiązki członków *korespondentów* Towarzystwa: Władysław August Baron w Warszawie; Aleksander Szczepański w Dynaburgu; Eugeniusz Sokołowski w Humaniu.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Марта 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.